Nr. 82. Lwów — Środa dnia 11 Kwietnia. Rok 1894.

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi. . . . . 5 „

Numera z poprzednich miesięcy po 10 ct.

„Przegląd“ jest do nabycia we Lwowie w obu Biurach sprzedaży dzienników i we wszystkich większych trafikach.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Cena prenum. na prowincyi.
Miesięczna zł. 1·10 | Półroczna zł. 6
Kwartalna „ 3·— | Roczna „ 12
Za zmianę adresu opłaca się 15 ct.

CENY OGŁOSZEŃ
zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . 2 „
zaś tłustym garmondem po . . . 4 „
Korespondencye przyjmuje się za każde słowo drukiem petitowym po . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . . . 20 „
Nekrologia . . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 5.

Dziś: św. Leona W. P. | Joana Łyst.
Jutro: św. Juliusza P. | Ipatya Jep.

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca g. 5 m. 28
Zachód „ „ 6 „ 36

Długość dnia g. 13 m. 8
Przybyło dnia od wczoraj 2 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 10 kwietnia.

Wybór prezydyum Koła polskiego był po części bardzo mozolny, ale ostatecznie wypadł zupełnie pomyślnie i jesteśmy przekonani, że odpowie życzeniom całego kraju. Co do godności prezesa, to odrazu po zgonie ś. p. Benoego opinia publiczna przeznaczyła ją p. Zaleskiemu, a widocznie i w Kole tak samo myślano, jak w kraju, bo wybór przeszedł odrazu i ogromną większością. Już samo zszeregowanie się tak imponującej większości uważamy za wypadek dobry, bo w Radzie państwa i rządzie powinni wszyscy wiedzieć, że nowy prezes zajmuje silne stanowisko w Kole. P. Zaleski posiada wszystkie przymioty, które w dzisiejszych stosunkach koniecznie musi mieć prezes naszej delegacyi: zna gruntownie potrzeby kraju, bo do wszystkich spraw sam przykładał rękę jako namiestnik, a potem minister, więc każde jego słowo będzie dla biurokratów w ministerstwach miało wagę kompetentnego zdania; jest wybornym znawcą stosunków i wpływowych sfer wiedeńskich, w których się obraca jak we własnem towarzystwie, a kto na świat patrzy nie przez szkła jakiejś doktryny, ale jako doświadczony polityk, ten przyzna, że to jest okoliczność ogromnie ważna dla skutecznego działania; wreszcie — i to z taktycznego względu rzecz wielkiego znaczenia — p. Zaleski jest mężem stanu pełnym towarzyskich przymiotów, bardzo uprzejmym, dystyngowanym, miłym w obejściu, słowem, jest typem wykwintnego dyplomaty, który nie nie postawi na ostrzu noża i nikogo szorstkością nie zrazi do siebie, a więc i do tej sprawy, której będzie orędownikiem. Koalicya, to przecież w praktyce nic innego, jak ciągłe sprowadzanie do jednego mianownika różnorodnych życzeń sprzymierzonych stronnictw. Więc rokowania z rządem i przywódzcami tych stronnictw będą szły nieprzerwanym szeregiem i w nich to towarzyskie przymioty p. Zaleskiego mogą przynieść nieoszacowane korzyści.

Znajdujemy to dość naturalnem, że wybór wice-prezesa musiał być nieco trudniejszy, albowiem w Kole dużo jest zasłużonych i równie poważanych; ale żeby był tak trudny, tegośmy się nie spodziewali. Koło się rozdzieliło na dwoje; siedm razy głosowano i żadna strona nie chciała ustąpić. Jest niezaprzeczenie polityczna różnica między p. Jędrzejowiczem a p. Pinińskim, ale nie tak wielka, żeby zaciętość, jaką okazano przy tym wyborze, była usprawiedliwiona. Zrozumielibyśmy i uważali ją za dobrą, gdyby szło o wybór albo jednego z tych panów, albo naprzykład p. Lewakowskiego. Ponieważ zaś przy tych wyborach względy polityczne prawdopodobnie nie grały żadnej, albo bardzo małą rolę, przeto w tej zaciętości widzimy dowód istnienia w Kole różnych prywatnych względzików, które wprawdzie są w każdem ludzkiem gronie, ale w takiej instytucyi, jak Koło, powinny być bezwzględnie usuwane, bo ono, zgodnie z wyraźnem życzeniem kraju, musi być organizmem spiżowym. Ostatecznie wybrano p. Jędrzejowicza, który jako bardzo dobry parlamentarzysta, pracujący dłużej od p. Pinińskiego, miał zupełne prawo do pierwszeństwa, a taktu zaraz dowiódł, nie przyjmując godności, która mu się dostała z łaski losu.

Swoboda prasy, ale prasy koniecznie uczciwej i oględnej, jest ogromnie ważną dźwignią życia społecznego i warunkiem normalnego działania konstytucyi. Krępować tę swobodę, to znaczy wprowadzać pewien niepokój w organizm społeczny; ale mieć prasę nieuczciwą i nieoględną, przekraczającą zakres swego działania, to jest po prostu gubić konstytucyę i narażać naród na chorobliwe przejścia. Odkąd też ustaliła się zasada swobody prasy w państwach konstytucyjnych, wszędzie w nich stanęła zagadka: jak usunąć nadużycia prasowe? Sprawa ta dotychczas nie jest rozstrzygnięta; ale ponieważ potęga dziennikarstwa wciąż rośnie, pomimo, że moralność jego widocznie upada, przeto faktycznie już to zagadnienie tak rozwiązano, że wszelkie nadużycia trzeba znosić cierpliwie, jako zło konieczne, i spodziewać się, iż społeczeństwo samo ukarze niesumienny dziennik. Takie jednak postawienie tej kwestyi jest właściwie rezygnacyą z wszelkich kodeksowych środków przeciw nadużyciom, bo doświadczenie uczy, że spodziewana kara, którą powinno wymierzać samo społeczeństwo, nigdy nie przychodzi, albowiem publiczność ma zwykle słabe poczucie szkody, wyrządzanej narodowi prasowymi wybrykami, natomiast czuje wielkie upodobanie do wszelkich skandalów i za nie nietylko nie potępia dziennika, lecz owszem zachęca go do nich, rozchwytując jego numera. Można to przyjąć za regułę, że upadający dziennik, aby się podnieść ekonomicznie, zaczyna dzień po dniu robić skandale i ta metoda nigdy go nie zawodzi, a stała się ona bardzo rozpowszechnioną, odkąd dzienników tyle się namnożyło, że większość ich zdrowej racyi bytu mieć nie może.

Jest to znaną już w całej zachodniej Europie chorobą prasy. Bardzo wytrawne społeczeństwo angielskie potrafiło ukarać *Times'a* za lekkomyślny proces jego z Parnellem, kiedy-to ów dziennik, posiadający przedtem bezwarunkową wiarę, dopuścił się albo rozmyślnego współnictwa w fałszerstwie kryminalnych dokumentów Pigotta, albo stał się ofiarą własnej nieoględności i łatwowierności, karygodnej wtedy, gdy idzie o sprawę publiczną. Zaczęto wątpić o uczciwości, albo o rozumie *Times'a* i od tej chwili ów dziennik bardzo w Anglii podupadł. Pomimo tego za granicami Anglii *Times* zachował swą dawną powagę — i to właśnie pokazuje, że moralność zachodnio-europejskiej prasy nie dorównuje tej moralności w Anglii. Skandaliczne i szkodliwe dla narodu zachowywanie się dziennikarstwa paryskiego wywołało w republikańskiej Francyi agitacyę za nałożeniem kodeksowych hamulców na wyuzdania prasowe. Tej sprawy, niezmiernie trudnej z powodu siły dziennikarstwa, jeszcze tam nie załatwiono, a oto wynurzyła się ona w Niemczech. Dawno już zbierało się na tę burzę w skutek niezmiernie zuchwałych ataków prasy bismarkowskiej na rząd i tak zwany „nowy kurs“, teraz zaś stało się sprawą aktualną z powodu głośnej w Niemczech afery satyrycznego tygodnika *Kladderadatscha*. To pismo obrało za cel swych pocisków kilku wysokich urzędników w ministeryum spraw zagranicznych, nazwało jednego z nich Śniadankiewiczem, drugiego Trubadurem, trzeciego Wróbelkiem i poczęło w każdym numerze obarczać ich bardzo ciężkimi zarzutami, a mówiło o nich tak, że wkrótce każdy się domyślił, iż panami tymi są radzcowie sekcyjni w ministeryum spraw zagranicznych von Holstein i von Kiderlen-Wächter, oraz poseł przy dworze bawarskim hr. Filip Eulenburg, mianowany teraz ambasadorem w Wiedniu. *Kladderadatsch* zarzucał im szpiegostwo między urzędnikami, usposobionymi przyjaźnie dla Bismarka, i bardzo wstrętne intrygi, w skutek których najpierw usunął cesarz Bismarka, potem Waldersee'go, w końcu ambasadora Radovitza przeniósł z Konstantynopola na niepozorne stanowisko w Madrycie, a posła przy Watykanie, p. Schlözera całkiem usunął ze służby państwowej. Kiedy te napaści zwróciły uwagę publiczną, w *Reichsanzeigerze* pojawiła się następująca notatka: „Pewien tutejszy humorystyczny dziennik od kilku tygodni zjadliwie napada niektórych wysokich urzędników w ministeryum spraw zagranicznych. Napaści te są zupełnie nieusprawiedliwione. Zdaje się, że działa tu jakaś prywatna niechęć, która się obawia wystąpić otwarcie. Sądzimy, że tego, cośmy powiedzieli, dość do charakterystyki tych ataków“. Po takiem wystąpieniu urzędowego organu, *Kladderadatsch* wymienił nazwiska trzech urzędników, na których napadał, oświadczył przytem, że nie cofa zarzutów i wezwał owych urzędników, aby wnieśli skargę do sądu. Było to w końcu lutego. Od tego czasu w każdym numerze *Kladderadatscha* były coraz zjadliwsze napaści na tych panów, którzy jednak nie bronili się ani jednem słowem, a to dlatego, że gdyby powołali przed sąd oszczerczy dziennik, to musieliby przedstawić trybunałowi akta ministeryum, a to z powodów dyplomatycznych było niemożliwe. Tylko półurzędowe dzienniki dawały od siebie wyjaśnienia, że Radovitz dlatego był przeniesiony z Konstantynopola, iż sułtan o to się starał, a znów Schlözer otrzymał dymisyę za to, że nic nie wiedział o zbliżeniu się Watykanu do Francyi. Te wyjaśnienia nie uspokoiły jednak redaktorów *Kladderadatscha*, którzy nie zaniechali swych napaści, a w końcu ogłosili, że z polecenia Capriviego proszono ich, aby zaniechali tej przykrej sprawy. Wówczas *Reichsanzeiger* drugi raz się odezwał, zaprzeczając, jakoby Caprivi kogokolwiek upoważniał do rozmowy z oszczercami. Na to redaktor *Kladderadatscha* Polstorff odpowiedział listem, ogłoszonym w *National Ztg*, a w tym liście napisał, że on i wydawca *Kladderadatscha* Hoffmann rozmawiali o tej sprawie z urzędującym w min. sp. zagranicznych jenerałem Spitzem, który powiedział, że występuje „z polecenia“ i że w ministeryum rzeczywiście działy się nieprawidłowości, ale owi trzej urzędnicy są stosunkowo najmniej winni, bo za nimi stoi osobistość, zajmująca tak wysokie stanowisko, że jest nietykalna, a wreszcie, że do procesu sądowego nie może przyjść między *Kladderadatschem* a tymi urzędnikami, bo trzeba byłoby odsłonić przed światem niektóre szczegóły dyplomatyczne, które ze względów politycznych powinny pozostać w tajemnicy. Na drugi dzień w tej samej *National Ztg* pojawił się list Hoffmanna, który pisze, że nie przypomina sobie, aby jen. Spitz mówił, iż występuje „z polecenia“; jemu się tylko wydało, że jenerał działał w myśl swoich przełożonych; dalej Hoffmann zaprzeczył stanowczo, jakoby jenerał przyznał, iż działy się w ministeryum jakiebądź nadużycia, a w końcu oświadczył Hoffmann, że wprawdzie jenerał zrobił wzmiankę o osobistości, zajmującej wysokie stanowisko, ale dodał z naciskiem, iż jest to osobistość urzędowa, a zatem nie cesarz.

Chociaż tedy Hoffmann zadał kłam Polstorffowi, jednakże cała bismarkowska prasa uderzyła na „sterników nowego kursu“. Hoffmannowi zarzucono, że stchórzył i że mu kazano taki list ogłosić, a on usłuchać musiał, jako rezerwowy oficer, który za niesubordynacyą byłby zdegradowany. Jest to straszny zarzut, zrobiony moralności dostojników rządowych, ale bismarkowska prasa wymyśliła mnóstwo podobnych zarzutów i poczęła wyć, jak opętana. Dwutygodnik *Zukunft* napisał: „Klika intrygantów rządzi państwem. Caprivi, Marschall, Holstein, Kiderlen i Filip Eulenburg, którego na dworze nazywają „śliczny Filpcio“, — to są ludzie trzymający się za ręce i wypychający intrygami wszystkich znakomitych mężów stanu, którym Niemcy zawdzięczają swą wielkość. Sfery rządowe stały się cuchnącem trzęsawiskiem. Naród ma prawo wiedzieć, jakie-to intrygi usunęły Bismarka, Waldersee'go i innych znakomitych mężów“.

Co począć z taką prasą? Puścić jej oszczerstwa i zniewagi płazem, znaczyłoby rozzuchwalić wszystkich amatorów paszkwilu i podkopać powagę rządu, tak bardzo potrzebną w społeczeństwie, żyjącem normalnie. Powołać przed sąd oszczerców niepodobna w tym wypadku, bo idzie o zachowanie w tajemnicy ważnych aktów dyplomatycznych. Pozostaje więc tylko obmyślić jakiś ustawowy hamulec na prasę, czyli skrępować jej swobodę. Ten zamiar istnieje podobno w rządowych sferach niemieckich, jak istnieje we francuskich. Tak oto nadużycia złych ludzi prowadzą do utraty tego, co samo przez się jest dobre i bardzo pożyteczne. Ludzie zawsze psują nietylko własne, ale i boże dzieła.

Po walnej dyskusyi.

Piszą nam z Wiednia 8 kwietnia:

Pierwsze wielkie rozprawy polityczne Izby po utworzeniu gabinetu koalicyjnego znacznie wyjaśniły sytuacyę. Główną zasługę w tym względzie przypisać należy p. Zaleskiemu, który przemówił w imieniu Koła polskiego, drowi Russowi, na teraz „leaderowi“ niemieckiej lewicy, i panu Plenerowi, który wczoraj wystąpił jako „Sprechminister“ gabinetu. Trzy te mowy bardzo stanowczo wsparły system koalicyjny. Może p. Plener posunął się trochę za daleko w optymizmie. Ale psychologicznie łatwo się tłómaczy, że mąż, który przez kilkanaście lat stał na czele opozycyi, zasiadłszy na fotelu ministra, staje się skłonnym przypuszczać, że wreszcie nastał *le meilleur monde de tous les mondes possibles*. W każdym razie na teraz gabinet koalicyjny jest polityczną koniecznością; dowodzą tego niedorzecznie radykalne wynurzenia młodoczechów. A że ten gabinet stoi silnie, dowodzą zaufania pełne oświadczenia pp. Zaleskiego i Russa. Niewątpliwie hr. Hohenwart, gdyby był zabrał głos w imieniu klubu konserwatystów, byłby się wyraził podobnie jak dwaj inni naczelnicy sprzymierzonych klubów. Wielka szkoda, że hr. Hohenwart przemawia tak rzadko. Gdy zamiast niego zabierają głos członkowie jednej z różnych frakcyi jego klubu, mniej obeznani ze stosunkami, mylnie głos taki uważają za wyraz opinii klubu. Tak np. w ostatnich rozprawach z klubu konserwatystów przemówili tylko pp. Szuklje i Vosnjak, oczywiście nie w imieniu klubu, lecz wyłącznie w imieniu sześciu Słoweńców, którzy w nim zasiadają. Naturalnie lokalna sprawa słoweńska, względnie zatarg pomiędzy Słoweńcami a niemieckimi narodowcami w Styryi (Foregger), jeszcze mniej powinien oddziałać na wielką politykę monarchii, niż zatarg niemiecko-czeski. Polemice więc pp. Szukljego i Foreggera nie przypisujemy żadnej doniosłości politycznej, natomiast bardzo ważny jest epizod wywołany mową p. Wachnianina. Usiłowania młodoczeskie, zmierzające do rozsadzenia dawnej historycznej solidarności Rusinów z nami, chybiły celu, „koalicya słowiańska“ o kierunku antipolskim jest mrzonką!

Właściwie tylko młodoczesi reprezentowali namiętną opozycyę, a reprezentowali ją w sposób najniezręczniejszy. Pogróżki, że po panach Heroldzie, Vaszatym, Szamanku na czele ruchu czeskiego staną jeszcze radykalniejsi „omladincy“, nie zatrwożą nikogo, odkąd w parlamencie istnieje silna większość, całkiem niezależna od manewrów frakcyi młodoczeskiej. Formułując „kwestyę czeską“ w sposób najskrajniejszy, czyli twierdząc, że legalnie Czechy stanowią kraj całkiem niezależny, a z resztą Austryi złączony jedynie wspólną dynastyą (unią personalną), młodoczesi nietylko moralnie wzmacniają pozycyę Niemców czeskich, nietylko gwałcą historyę trzech wieków i eskamotują sankcyę pragmatyczną, ale nadto odstręczają od siebie wszystkie poważniejsze żywioły ludności czeskiej. Pod takiem hasłem występować może tylko *desperado* polityczny; frakcya parlamentarna, rozwijająca podobny sztandar w parlamencie austryackim, z góry wyrzeka się dobrowolnie wszelkiego sukcesu.

W znakomity sposób ze swego zadania jeneralnego sprawozdawcy budżetu, a zarazem ostatniego mówcy, powołanego zreasumować dyskusyę trzech dni, wywiązał się p. Szczepanowski. Po Dunajewskim, Smarzewskim, Bilińskim, szanowny poseł lwowski dzięki przyrodzonym zdolnościom i sumiennej pracy zajął w parlamencie austryackim stanowisko pierwszorzędne i zjednał sobie uznanie wszystkich wytrawnych posłów.

KORESPONDENCYE.

Wiedeń 7 kwietnia.

Debata budżetowa z ostatnich dwóch dni ze wszech miar zasługuje na uwagę. Najwięcej oczywiście gadali młodoczesi, wszelako jak zwykle tak i tym razem bardzo mało nowego powiedzieli. Wszyscy prawie mówcy młodoczescy w tym roku wyjątkowo dużo rozprawiają o sympatyach swych dla robotników, o gotującej się rewolucyi, i to nie otwartej, ale konspiratorskiej na zasadzie biernego oporu. Wczoraj już Kramarz przyznał się w izbie do odkrycia, że czeski naród siły swe czerpie z małych rękodzieł i masy robotniczej i że dla Czechów kwestya socyalna jest kwestyą narodową. Poznała to młodzież czeska i organizuje się (w „omladinę“) na podstawach doktryn socyalnych. Że zaś na polu politycznem młodzież czeska stanęła na gruncie czystego prawa historycznego, to jest unii personalnej Czech i Austryi, to zdaniem p. Kramarza nikogo dziwić nie powinno. Niesprawiedliwy wyrok w procesie przeciw „Omladinie“ zaszkodzi tylko rządowi, a wzmocni szeregi niezadowolnionych. Rząd chybia celu, jeśli sądzi, że potrafi odroczyć ad calendas graecas reformę wyborczą, albo jeśli zadowolnienie robotników okupić zamierza kilku głosami przyznanemi im w nowej jakiejś kuryi. W tym kierunku obracała się cała mowa p. Kramarza.

Widocznie agitacya Omladiny przeciw młodoczechom napędziła posłom tego stronnictwa takiego strachu, że nie mogą sobie inaczej radzić, jak poddać się na łaskę lub niełaskę programowi socyalistycznemu, przy równoczesnem ckliwem wzdychaniu do korony czeskiej, na której naturalnie żadnemu robotnikowi nic a nic nie zależy.

Po Kramarzu mówił młodoczech Szamanek jeszcze namiętniej o „zdradzieckiej szlachcie“ i o „nienawiści“ przeciw rządowi „która chwyci się metody stosowanej dawniej przez karbonaryuszów w Wenecyi“ i konspiratorów w Węgrzech. „Będziemy nienawidzili i odtrącali wszystko, co pochodzi od rządu, wszystko, co nazywa się cesarsko królewskie, a organom urzędowym uprzykrzymy, ile możności, ich egzystencyę.“

Że takiemi z góry zapowiedzianemi — więcej śmiesznemi i dziecinnemi niż strasznemi — konspiracyami zastępcy klubu młodoczeskiego dziś grożą, że klub młodoczeski w ogóle dał swoim członkom pozwolenie wypowiadania takich nonsensów i banialuk, chyba dowodzi, jak daleko radykalny odłam młodoczechów zaszedł w swych wpływach. Większa część młodoczeskiego klubu wcale się nie godzi z takiemi enuncyacyami, a jednak boi się ich zakazywać, bo w takim razie klub natychmiast by się rozpadł.

Wszystko to srodze się pomści na młodoczechach.

W debacie wczorajszej i dzisiejszej przemawiali z obozu młodoczeskiego sami posłowie skrajnego odcienia i wszyscy niemal to samo powtarzali. Nie jest to przypadek! Jest to plan z góry ułożony, mający zyskać nowych zwolenników między robotnikami „najmłodszym Czechom“ i mający sterroryzować te żywioły młodoczeskie, które nie straciły jeszcze całkiem dyrektywy rozsądnej i nie oddały się jeszcze z ciałem i duszą szalonym prądom. Dziś Vaszaty n. p. zarzucał ministrowi Schönbornowi, że w reskrypcie do prokuratoryi w Pradze zwrócił jej uwagę na to, iż stenograficzny protokół Izby posłów zawiera tylko mowy niemieckie, (że przeto mów czeskich, polskich, słoweńskich i t. d. sprawdzić nie można i na przedruk ich, jeśli zawierają wycieczki przeciw rządowi, pozwolić też nie można).

Z błahej takiej sprawy urobił młodoczeski trybun straszny akt oskarżenia, posądził ministra o zamiar ograniczenia wolności słowa, dokuczenia młodoczeskim zastępcom i z emfazyą wykrzykiwał: „Kochany hrabio Schönborn! Już dawno wszelki słuch zaginie po panu w ministerstwie sprawiedliwości, kiedy nadejdą bataliony robotnicze, które pytać się nikogo nie będą, jak mówić mają.“

Oczywiście, wedle teoryi młodoczeskiej, zanim te bataliony nadejdą, wywalczą unię

---

18)

SWAT

Powieść współczesna

przez

Wincentego hr. Łosia.

(Ciąg dalszy).

— *Vous devenez vieux et peu galant...* Trzeba mu było przecież na wieczorze u pani Bolskiej nadmienić, że przyjechałam. Byłbyś mu pan oszczędził skandalu, jakim się ośmieszył, *en se déclarant ivre..*

Hrabia zbladł; słowa baronowej ogłuszyły go po prostu, i zdziwił się już tylko, dlaczego w takich chwilach ludzie nie zapadają się pod ziemię. Nieszczęśliwa jego mina nieco uspokoiła wzburzone nerwy pani Waleryi, wiedziała teraz przynajmniej, czego się trzymać.

— Jak pan widzisz, jestem dobrze poinformowaną, — rzekła. — Jaki więc cel pan masz w tem dziwacznem postępowaniu ze mną? Wszak ja nie mam wyroku, dającego mi możność aresztowania pana Ludwika. Wszak nie jest nawet moim mężem... Chcę go widzieć tylko.

Hrabia przygnębiony milczał. Po długiej pauzie baronowa, nie mogąc wydobyć od niego ani słowa, odezwała się znowu:

— Powiedz mi pan, co za cel masz w ukrywaniu Ludwika, którego dziś czy jutro zobaczę niezawodnie, choćby ze mną spotkać się nie chciał? A przedewszystkiem, jaki cel masz w tem gwałtownem żenieniu go? Jaki cel możesz mieć w tem śmiesznem łączeniu (tu zaśmiała się nerwowo) starzejącego się rozpustnika z... gąską? Ten cel pański mnie bawi i intryguje... Chyba że chcesz pan z niej uczynić ofiarę, a narzucić Ludwikowi niepotrzebny tylko kłopot. Przecież to nie jest już dziś człowiek do małżeństwa... do małżeństwa z gąską... A zresztą pamiętaj pan, że on ze mną związany...

Hrabia wreszcie ochłonął, a ochłonął głównie z gniewu. Jakiem prawem ta kobieta napastowała go we własnym domu, wtrącała się do jego planów i ubliżała Marioli?

— Jesteś pani zupełnie w błędzie,— odrzekł tonem stanowczym.—Ludwik jest prawie moim rówieśnikiem, jest o lat dziesięć odemnie młodszy, a tem samem nie mogę nim kierować. Ale, jeżeli pani koniecznie żądasz usłyszeć to, czego ci z przyczyn prostej grzeczności powiedzieć nie chciałem, jeśli pozwalasz mi być otwartym...

— Ach! proszę,— szydziła baronowa,— może wreszcie wejdziemy na jaśniejszą drogę...

— Oświadczam zatem pani, że Ludwik sam postanowił się ożenić i dlatego właśnie przybył do Warszawy...

Pani Walerya sponsowiała.

— Z kłamstw w kłamstwa brnąć z panem nie myślę. Ja znam Ludwika, znam jego usposobienie, znam jego zapatrywania co do małżeństwa. Cha! cha!

Hrabia powstał.

— Z panią nie ma dyskusyi.

— Gdy mi pan brednie prawisz...

— Prawię to, co mi powiedział.

— A więc,—zawołała pani Walerya, zrywając się z krzesła i przystępując do hrabiego,— więc to było Ludwika zamiarem żenić się? Więc to on chciał zerwać... ze mną? On sam wybrał pannę Bolską?

— On sam.

— Kłamiesz hrabia! kłamiesz bezczelnie! kłamiesz potwornie! I to ci mówi kobieta, która lepiej od ciebie zna twego nikczemnego krewniaka...

Wzdrygnęła się, jakby ze wstrętu, i ciągnęła:

— Nie mamy już sobie nic do powiedzenia. Bądź pan łaskaw tylko wskazać mi, gdzie jest Ludwik. I tylko bądź łaskaw hrabia nie skłamać!

Pana Artura cierpliwość była wyczerpaną.

— Nie wiem! — zawołał głosem wściekłym, — nie wiem, gdzie się schował przed panią.

— Cha! cha! cha! — zaśmiała się gorzko baronowa, — nie wiesz, gdzieś go schował? Tutaj jest!

To mówiąc, rzuciła się do przyległego pokoju. Hrabia, cokolwiek oszołomiony, nie stracił jeszcze zupełnie przytomności.

— Szukaj go pani! — krzyknął tak, aby go Ludwik mógł posłyszeć.

Baronowa wbiegła do saloniku i minęła szafę. Hrabia, idąc za nią, zakręcił szybko klucz w zamku i schował go do kieszeni.

W tejże chwili odwróciła się pani Walerya i zawołała:

— Oszczędź mnie pan! On jest tutaj, jestem tego najpewniejsza.

— Szukaj pani — odparł hrabia, wyciągając rękę z kieszeni.

Ruch ten zauważyła baronowa. Nozdrza jej rozdęły się, pierś falowała, rumieńce pokryły twarz. Hrabia mimo wzburzenia wyznawał sam przed sobą, że była rzeczywiście bardzo piękna w tej chwili.

— Wstyd mi — zawołała kobieta, nagle powracając od drzwi, prowadzących do następnego pokoju — tej roli, którą mi odgrywać każesz! Dajże mi słowo twoje, słowo Czajskiego, że go tutaj nie ma, że się ukrył przedemną — dodała prawie załzawionym głosem.

— Szukaj pani! — powtórzył raz jeszcze hrabia, robiąc krok naprzód i nie mogąc powstrzymać się, żeby nie spojrzeć na szafę.

Ale baronowa śledziła wzrok pana Artura. Rodzaj przestrachu odmalował się na jej twarzy. Opuściła głowę, zacisnęła usta, ściągnęła brwi i utkwiła oczy w posadzce.

— Chodźmy dalej, skoro mi pani nie wierzysz.

— Nie! — odparła bezdźwięcznym głosem i osunęła się na krzesło. Hrabia stał przed nią i czekał.

— Słuchaj pan — rzekła. — Przejrzałam jasno wreszcie. Tyś plan utworzył, a ten lichy człowiek bez charakteru przyjął go i zobowiązał się być posłusznym. Dziś opuszczam Warszawę, ale ponieważ jestem od was uczciwsza, uprzedzam was o mych zamiarach. Popełniliście względem mnie zbrodnię i za to obaj strasznie odpokutujecie...

— *Vous déraisonnez, madame!*

— Obojętnem mi jest, jak pan zechcesz słowa moje tłómaczyć. Z kobiety, jaką byłam i jestem, przerobię się w awanturnicę, której celem w życiu będzie, jak na teraz, nie dopuścić do tego małżeństwa. Nie cofnę się przed niczem, przed żadnym skandalem, jednym z tych, o jakich może hrabia czytałeś w kronikach gazet wielkich miast lub w sensacyjnych romansach. Ta przyszłość, którą na podstawach kłamstwa budujecie, będzie grobem waszych rozpustnych żywotów, będzie jednem pasmem cierpienia tej niewinnej może, ale głupiej istoty, będzie jednym tryumfem mojej nienawiści.

Cierpliwość pana Artura ostatecznie została wyczerpana.

— Czego pani chcesz odemnie? — rzekł opryskliwie. — Cóż mnie te groźby obchodzą? Jemu to powiedz.

— Ja do was obu mówię — odparła baronowa, podnosząc głos. — Do ciebie, autora spisku, i do niego, do tego pajaca, który mnie w tej szafie słucha.

— *Vous êtes folle!*

— Zostawiam was z waszemi planami. Przeszkadzać nawet nie będę teraz, chociaż mogłabym tylko zażądać od ciebie klucza od szafy, a twój kuzynek dziś jeszcze razem ze mną opuściłby Warszawę. Ale nie uczynię tego. Spaliłabym się ze wstydu, żem przez lat dwanaście mogła kochać tego błazna, chowającego się do szafy przed kobietą, tego kandydata do domu waryatów, gdzie wszystkim Czajskim każe kończyć przebrzydła słabość charakteru.

Odwróciła się i wybiegła.

Hrabia tak wyglądał, jakby mu przybyło lat dziesięć w ciągu kwadransa. Chwiejącym krokiem podszedł do szafy i otworzył ją.

— Jesteś tu? — zapytał.

— Dusiłem się — odrzekł Ludwik, wychodząc z szafy.

— Gdyby nie twój głupi koncept z szafą, byłbym najspokojniej przeleżał w swoim pokoju.

— Waryatka! — mruknął tylko w odpowiedź hrabia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

personalną z Austryą, i „prawo elekcyi króla własnego".

Wobec takich z pod wszelkiej krytyki usuwających się mrzonek młodoczeskich, wczorajsza mowa staroczecha Fanderlika, mimo zwrotów namiętnych przeciw rządowi i koalicyi, nazwać się chyba może arcy-umiarkowaną. Fanderlik przynajmniej nie zapomina o starych sprzymierzeńcach Polakach i konserwatystach i życzy sobie tylko takiej konfiguracyi parlamentarnej, w któréjby Niemcy mieli wpływ podrzędny.

Najważniejszym jednak epizodem w debacie budżetowej były wczoraj mowy p. Wachniania i p. Zaleskiego, a dziś mowa ministra Plenera. Wachnianin życzy sobie przedewszystkiem inwestycyi dla Galicyi, podniesienia dobrobytu wieśniaka, a w satyrycznym sposób przedstawiając tendencye młodoczeskie stworzenia koalicyi słowiańskiej, rzekł, że Rusini, łącząc się z Polakami, tworzą taką koalicyę w Galicyi. Wachnianina mowa, z której duch bije prawdziwie obywatelski, pełna głębokiego zmysłu politycznego, ubodła tak samo młodoczechów, jak i tych Rusinów, którzy o zgodzie nie chcą nic wiedzieć i raczej na Moskali pozują, niżby rękę w rękę z Polakami własną narodowość rozwijać mieli. Po posiedzeniu wczorajszem Romańczuk zebrał grono posłów ruskich na konferencyę. Konfuzya była kompletna. Przyjaciele p. Romańczuka starali wyprzeć się p. Wachniania, dowodząc, że p. Wachnianin do klubu ruskiego wcale nie należy, co jednak jest nieprawdą. *De facto* klub ruski od wczoraj już nie istnieje. Wczoraj przyszło w tym klubie do dyskusyi tak namiętnej po żądaniu Romańczuka, aby klub otwarcie przeszedł do opozycyi, że członkowie nie mogąc się zgodzić, rozeszli się i teraz głosować będą każdy wedle swego zdania.

P. Zaleski wobec tej pierwszej mowy p. Wachnianina oświadczył, że Polacy do rządu i do stronnictw koalicyjnych mają pełne zaufanie. Koalicya dotrzymała dotychczas, co zapowiedziała, a obecny rząd nadał wielkie zadania ustawodawcze i administracyjne: reforma podatkowa, regulacya rzek, budowy kolei lokalnych, organizacya nowa sądów i władz politycznych, reforma ustawy karnej i procesu cywilnego. Także w kwestyi reformy wyborczej przyjdzie rząd w zgodzie ze stronnictwami do pewnej stałej i zadowalającej zasady, nie ulegnie on jednak przytem żadnej presyi, żadnym naciskom (co znaczy ani ze strony młodoczechów, ani ze strony socyalistów!) Ogólne zasady obudziły pełne sympatyi słowa prezesa Koła wystosowane do Rusinów. Każdy Polak — rzekł p. Zaleski — uznaje wartość z bratnim narodem, z którym związane są losy kraju od długich wieków. To też uprawnionym życzeniom Rusinów z chęcią i gotowością wielką do ustępstw zawsze zechce przyjść Polacy.

Po wymianie mów i oświadczeń pp. Wachnianina i Zaleskiego wobec całej Izby jest uroczystym aktem zgody dojrzałych polityków o szerokim zakroju myśli i będzie na długo wśród burz parlamentarnych punktem świetlnym, do którego zawsze zwrócić się muszą niechętni i po manowcach krętych błądzący przeciwnicy porozumienia.

Pisma niemieckie podkreślają bardzo dobitnie te ustępy mowy p. Zaleskiego, w których on wyraził zaufanie dzisiejszemu rządowi; nie spodziewały się one po byłym ministrze i członku gabinetu hr. Taaffego takiej wolnej od wszelkiego osobistego żalu zgody z nowym porządkiem rzeczy. Nie oceniły one atoli właściwie rozumu stanu i wysokiego stanowiska (wyższego nad wszelką małość osobistych uraz) byłego ministra dla Galicyi. Niestety pisma te zaniechały uznania tych ustępów mowy przez p. Zaleskiego, milczą przytem o programie żądań wyliczonych, jako ekonomiczne potrzeby naszego kraju. Żądania te na razie bardzo skromne obejmują melioracye gruntów, pomnożenia liczby sądów i zaprowadzenie przymusowych ubezpieczeń od ognia.

W dzisiejszej debacie wszystkie inne mowy znaczeniem swem przewyższa enuncyacya ministra Plenera. Plener, mimo że w ciągu trzydniowej debaty o budżecie prawie wcale mowy nie było, uznał za stosowne jeszcze raz w Izbie przypomnieć potrzebę reform podatkowych i rozwinąć swój program przedstawiony już w komisyi. Stan finansów państwowych jest pomyślny, ale rosnące potrzeby na cele wojskowe, walutę, koleje, podwyższenie płac urzędników i t. p. domagają się nowych dochodów. Dochody te nie wpłyną z uregulowania podatków bezpośrednich, które raczej obniżyć by należało, a których ciężar przynajmniej dla kategoryi niższych kontrybuentów jest za wielki. Wszelka regulacya tych podatków ma na celu tylko równomierniejszy rozkład ciężarów. Tymczasem komisya podatkowa będzie obradowała także i w czerwcu, aby do października przygotować materyał dla Izby. Gdyby Izba w październiku lub listopadzie zająć się nią nie mogła, reforma musiałaby czekać do następnego okresu ustawodawczego (tj. po nowych wyborach). Dochodów nowych, potrzebnych także i autonomicznym zarządom krajowym, wyczekiwać można — zdaniem p. Plenera — w najbliższej przyszłości z podwyższenia podatku od wódki.

Oczywiście sympatyczny dla wszystkich autonomistów zamiar ministra ustąpienia z dochodów podatkowych krajom znacznych kwot, nie może jednak osłodzić gorzkiej domieszki, jaką uczuć muszą rolnicy na myśl o podwyższeniu podatku od wódki. Pamiętne jeszcze wszystkim, że kiedy przed kilku laty minister Dunajewski przewidział jeszcze podatek, powstała taka burza i w parlamencie i za parlamentem, w dziennikach, towarzystwach, zgromadzeniach wyborczych, że na chwilę pozycya tego ministra wydała się zachwianą. Nie zapominajmy, że w kraju, w którym interesa rolnicze są ściśle związanych z przemysłem gorzelniczym, a zwłaszcza w kraju, w którym wyrób spirytusu nie jest industryą samodzielną, ale drugorzędną produkcyą, wspierającą gospodarstwa rolne na roli, wszelkie podwyższenie podatku od wódki dotkliwie da się uczuć, bo zawsze sprowadza podrożenie produktu, a tem samem w pierwszym przynajmniej czasie mniejsze zapotrzebowanie.

A jednak podwyższenia podatku od spirytusu nie da długo na siebie czekać. Minister Plener już przygotowuje przedłożenie regulujące handel wódką między Węgrami a Austryą, a także zapobieżenie temu, ażeby wódka węgierska nie dostawała się do austryackiego handlu i nie była tu konsumowaną bez zwrotu podatków konsumcyjnych pobieranych przez Węgry. Dziś bowiem węgierski rząd ma dochody także z tej wódki, którą spija się w Austryi, a którą przywiozło się z Węgier. Przyznał też minister, że reforma waluty pochłania wielkie sumy, wspomniał o konieczności naruszenia zasobów kasowych celem zakupienia srebra i niklu, głównie zaś celem objęcia sumy 43 mil. zł. w talarach srebrnych dawnego związku niemieckiego, które Austrya wykupić się zobowiązała od rządu niemieckiego. Choć reforma walutowa powoli wchodzi w życie, jednakże minister nie wątpi o jej powodzeniu. Kapitaliści wcale nie mają w tem interesu, aby zacieśnić obieg złota, jak im to przeciwnicy reformy zarzucają, owszem, wszelka spekulacya pieniężna opiera się na łatwości kredytu i tanich jego warunkach. Z całego ustępu o reformie waluty w mowie Plenera najważniejszem jest, i niechybnie sensacyę wywoła w niektórych kołach, oświadczenie jego, że państwo nie zamierza wcale odsetek długów płatnych w brzęczącej monecie wypłacać w złocie, i że na długie lata jeszcze srebro będzie monetą pełnej wartości, nawet i po rozpoczęciu wypłat gotówką.

Minister Plener mówił też o reformie wyborczej i o grawaminach Czechów. Rząd nie da się obałamucić agitacyom wśród mas prowadzonym systematycznie. Reforma wyborcza musi bronić stanu posiadania dzisiejszego, nie może więc zbyt wielkiej przyznać liczby mandatów nowym wyborcom. Socyalna demokracya nie da się nawrócić tak szybko ustępstwami parlamentarnemi, słucha ona bowiem podszeptów z zagranicy. Nadto rzekł Plener, że nieprawdą jest, (co Czesi mówią), że projekt hr. Taaffego był dziełem Cesarza i że dzisiejszy rząd, nie godząc się na Steinbachowski projekt, tem samem staje w sprzeczności z wolą korony. Cesarz życzy sobie rozszerzenia praw wyborczych, za metodę tego rozszerzenia jednak odpowiada każdoczesny rząd. Osoby koronowanej nie powinno się wciągać w debatę. Reforma przeprowadzoną być może tylko większością $^2/_3$ głosów. Jest to zbyt poważny akt ustawodawczy, aby go prostą większością uchwalić. Czeskie zaś dezyderata nie mogą znaleść uwzględnienia. Rząd stara się o dobrobyt Czech, buduje n. p. koleje za 20 milionów, ale przeciw niezadowolnieniu z rozmysłu budzonemu nic uczynić nie może.

Kongres lekarski w Rzymie.

Rzym 3 kwietnia.

Zjazd na kongres jest bardzo liczny, o wiele liczniejszy, niż się tego nawet najwięksi optymiści spodziewali. Ogółem liczą 8500 uczestników. Miejsca na posiedzenia sekcyi trzeba zdobywać przemocą, a komitet urządzający nieraz w istocie traci głowę, nie mogąc podołać wszystkim żądaniom gości.

Wielkie fiasko zrobił dziennik zjazdu *Giornale ufficiale.* Miał on być dokładnem odbiciem obrad zjazdu i podawać w kilku językach streszczenia odczytów i obrad sekcyjnych. Tymczasem zadania swego dziennik ten nie spełnił. Jest wprawdzie redagowany w czterech językach (włoskim, francuskim, niemieckim i angielskim), ale sprawozdania o odczytach i obradach podawane są w bardzo minimalnych dozach; natomiast znajdujemy w nim mnóstwo inseratów sprytnych fabrykantów i — jakby na ironię zjazdu — bardzo wiele anonsów o uniwersalnych środkach lekarskich, leczących bez lekarza wszystkich i wszystko. Zresztą w dzienniku tym zrozumiale redagowaną jest tylko część włoska, sprawozdań w innych językach zrozumieć nie można.

Wspaniale przedstawia się wystawa hygieniczna i jest licznie zwiedzaną i studyowaną przez uczestników zjazdu. Znajdujemy tam olbrzymi materyał historyczny, kreślący dzieje nauki medycznej we Włoszech od najdawniejszych czasów aż do ośmnastego stulecia, tj. do czasów Morgagniego, pierwszego twórcy anatomii patologicznej. Obok pergaminów, pisanych przez lekarzy mnichów, leżą prace profesorów berlińskich, padewskich i szkoły salerneńskiej, obok cennych zbiorów rzadkich dzieł lekarskich włoskich widnieje bardzo zajmujące geograficzne przedstawienie prac sanitarnych i rozwoju sztuki lekarskiej we Włoszech w ostatniem dwudziestoleciu.

W dalszym ciągu znajdujemy na wystawie prace z zakresu hygieny społecznej dokonane we Włoszech. Dają one dowód, że Włochy na tym punkcie w ostatnich latach bardzo postąpiły i śmiało rywalizować mogą z innemi państwami. Plany: zaopatrzenia miast w zdrową wodę, szpitali polowych i miejskich, zbiory narzędzi i aparatów służących do celów lekarskich przedstawiają ogromne bogactwo i współzawodniczą z sobą pod względem pomysłowości i wybornego wykonania.

Z pośród wykładów, wygłoszonych dotąd na zjeździe, wielkie zainteresowanie wzbudził odczyt prof. Virchowa z Berlina pt. „Morgagni i anatomiczne pomysły." Obszerne sprawozdanie z tego odczytu przeszlę w następnym liście. Żywe obrady toczyły się w sekcyach. Sekcyi dla medycyny wewnętrznej przedłożono 82 referatów przeważnie o gruźlicy. W sekcyi neuropatologii doktorowie Henchen z Upsali, Manna z Tryjestu i Benedikt z Wiednia złożyli zajmujące referaty, pierwszy o ośrodku wzroku, drugi o porażeniu mięśni ocznych, ostatni o chorobach nerwowych. W sekcyi chirurgicznej złożono 77 referatów; lekarz Demosthene z Bukaresztu mówił o działaniach nowego rumuńskiego karabinu. Najwyższe zainteresowanie w tej sekcyi wywołał odczyt dr. Lorenza z Wiednia. Uczony ten pierwszy za pomocą operacyi usunął wrodzone zwichnięcie kłębu, które dotychczas uważano za nieuleczalne i w ten sposób wskazał drogę, jak należy postępować z osobami, które na świat przyszły z tem zboczeniem i które dotknięte niem przez całe życie kuleć muszą. Podana przez fachowe pisma wieść o tej operacyi wywołała wielkie zainteresowanie w świecie lekarskim. Prof. Lorenz więc przywiózł z sobą dwoje dzieci, wyleczonych z tego zwichnięcia, aby je pokazać zebranym na zjeździe chirurgów. W poniedziałek dnia 2 bm. prof. Lorenz w „Ospitale della consolazione" przedstawił chirurgom owe dzieci i miał odczyt o swych operacyach. Dzieci ustawiono na wielkim stole, po którym musiały biegać i chodzić, a lekarze z wielkiem zainteresowaniem skonstatowali, że dzieci istotnie radykalnie zostały wyleczone i nie kuleją. Kilka razy musiał prof. Lorenz powtarzać swój odczyt i pokazywać lekarzom, w jaki sposób dokonywał operacyi. Za pouczenie o swej metodzie nagrodzono go hucznymi oklaskami.

W poniedziałek 2 bm. odbyło się wielkie przyjęcie uczestników kongresu w królewskich ogrodach na Kwirynale. W tym dniu także odbyła się wieczorem iluminacya i wypadła wspaniale.

MAŁY FELJETON.

Wiosenne mody męzkie.

Kiedy nastaje nowy sezon i pospolity śmiertelnik zmuszony jest zmienić „skorupę", odbywa się to zwykle w dwojaki sposób: Kawaler zjawia się u swego krawca i rzuca mu takie zdanie: - „Zrób mi pan coś wiosennego, coś niezbyt krzyczącego a wygodnego. Miarę moją ma pan przecie. Do widzenia" — a potem czeka z całym spokojem i wiarą w swego krawca na nowy garnitur. Żonatym jeszcze wygodniej. Ci już nie potrzebują się wcale troszczyć o swą skorupę, tylko pewnego pięknego poranku znajdują nowe ubranie na krześle przy łóżku. Małżonka załatwiła wszystko w porozumieniu z krawcem po za jego plecami.

Ale przecież po za tymi „zwykłymi ludźmi", wielu jest pomiędzy mężczyznami, co lubią się zaciekać w najdrobniejsze szczegóły mody, im więc przedewszystkiem niechaj służą te uwagi, które może zajmą i „zwykłych ludzi".

Najciekawszym a zarazem najważniejszym strojem wiosennym r. 1894 jest długi, o dwóch rzędach guzików angles t. zw. z niemiecka „szlusrok". Od kilku już lat w szerokich kołach lekceważono anglesy, niemal nimi pogardzano i prześladowano je nielitościwie. Ale teraz uśmiecha im się znowu słońce wiosenne, teraz przyszli znowu twórcy mody męskiej do przekonania, że to jedno z najpiękniejszych i najpraktyczniejszych ubrań. Angles bowiem nadaje pewną krzepkość postawie, zakrywa braki ciała, z wątłych robi atletów a w poważnej swej długości doskonale maskuje zbytnie zaokrąglenie form. Angles o długich połach, wedle modelu na sezon wiosenny r. 1894 ma krótki stan, a po biodrach spływają rozszerzone poły. Wedle przepisu mają kończyć się one o dwa centymetry poniżej kolana, ale modnisie, przesadzają chętnie ich długość i dodają do niej jeszcze cztery centimetry.

Tu na miejscu będzie wzmianka o materyale, z jakiego robi się „anglesy". Używa się do tego materyi zwanej *vicuna.* Krawcy obdarzają tą nazwą cały szereg materyałów surdutowych: kamgarnów, szewiotów, shetlandów i w. i., ale właściwie tem czarodziejskiem mianem powinno się oznaczać jedynie tkaniny na surduty przeznaczone, a zrobione istotnie z wełny południowo-amerykańskiej *vicuny.* Co najwyżej więc nazwać tak można sukno, w którem na poły zmięszano wełnę z *vicuną.* Prawdziwą *vicunę* łatwo odróżnić od naśladownictw po jej niezwykłej miękkości, po cenie wreszcie, która stosownie do gatunku chwieje się między 7 zł. 10 ct. a 12 zł. 80 ct. za metr. Materyały po 3 zł. do 4 zł. 80 ct. jako *vicuna* sprzedawane, są zrobione z sierści króliczej.

Drugie miejsce po anglesie zajmuje na trzy guziki zapinany żakiet, który jednakże w porównaniu z anglesem ma pewne cechy domowej swobody, wskutek czego mniej się nadaje do wyjścia na ulicę i występów po za domem. Uzupełnia go kamizelka o jednym albo dwu rzędach guzików. Zauważymy, że zarówno anglesy jak żakiety, opatrzone są w zewnętrzną kieszeń piersiową.

Co do wygodnej szerokiej marynarki, t. zw. s a c c o, to uważane ono jest za ubranie do pracy. Sacco najmodniejsze jest także z vicuny; miewa ono pięć guzików i pięć zwykłych kieszeń, opatrzonych klapkami, kamizelka do niego powinna być w V wycięta.

Reguła, jak mają być spodnie uszyte, streszcza się w tem jednem zdaniu: „Spodnie zwieszają się wolno i równo".

Wiosenne narzutki z siwo-brunatnego sukna weneckiego są bardzo w modzie. Krój ich jest następujący: Długość 84 centymetrów, klapy szpiczaste, ramiączka kryte, a brzegi raz ostebnowane.

Co się tyczy mankietów, to moda stawia bardzo surową regułę. Nie pozwala nosić takich mankietów, których brzegi, przytrzymywane spinką, jeden na drugi zachodzą. Ma bowiem je spinać łańcuszek. W szczegółach za to panuje tu wolność zupełna i dobre są zarówno mankiety o ostro ściętych, jak i zaokrąglonych brzegach. Kołnierzyk i mankiety mają stanowić z koszulą jedną całość, przypinane mankiety i kołnierzyki są niemodne. Przód koszuli gładki, biały, a kołnierzyk bardzo wysoki — to modna konieczność. Natomiast pod żadnym warunkiem nie wolno nosić haftowanych przodów. Dwie dziurki u przodu koszuli są modniejsze niż trzy. W pełni sezonu zapewne wejdą znów w życie kolorowe koszule lub przody, ale teraz jeszcze są one rzeczą zakazaną. Jedyny „możliwy" kołnierzyk jest jak wspomnieliśmy stojący wysoki, nawet bardzo wysoki, zamknięty, z koniuszkami leciuchno wygiętymi, który z długim anglesem ma stanowić, wedle języka mody, artystyczną całość.

Na ulicę bierze się myszatej barwy rękawiczki, o dwóch guziczkach z trzema wąskiemi, jedwabnemi wyszyciami na wierzchu.

Laska ma być jesionowa z niezbyt wielką, naturalną gałką; skówka srebrna, prócz której nie ma na lasce żadnej metalowej ozdoby, lub co najwięcej wąska, srebrna obrączka. Dawne nieforemne bicze lub węże, zarzucono zupełnie.

Co do trzewików, to obowiązującym jest kształt długi szpiczasty t. zw. „wężowy język". Są one zapinane na pięć guziczków, nie jak w roku tamtym na ośm, za to guziczki są dwa razy tak wielkie jak zeszłoroczne.

Wieńczy ten modny strój kapelusz. Wiosenne fasony mało się różnią od zimowych. Nosi się tak samo angielskie kapelusze, tak samo z kresami mocno wygiętemi. Za oceanem, w Nowym Jorku w modnym świecie bardzo są noszone kapelusze nie filcowe, tylko jedwabne. Nie wiemy jednakże czy całe z czystego jedwabiu, czy filcowe, powleczone jedwabiem.

Pozostaje jeszcze krawatka. Szeroki węzeł należy już do przeszłości. Teraz wiąże się krawatki, wedle najnowszych przepisów, w jeden wązki, zgrabny węzeł, którego zakończenie rozpływa się w jak najszersze fałdy.

Tak przeszedłszy po kolei wszystkie szczegóły modnego ubrania męskiego w obecnym sezonie, dla kompletu wspomnijmy o kwiatach. W dziurce od guzika umieszczane są goździki i to nie szkarłatne, ale o barwach sztucznie wypielęgnowanych. Nosi się zatem białe, kremowe lub różowo-czerwone goździki. Przytem niechaj nikt się nie poważy popełnić tego nietaktu, aby ozdobił pierś swą jednym tylko kwiatem. Bierze się ich sześć lub więcej, poprostu tyle ile się zmieści, a należy je tak zgrabnie w bukiecik ułożyć, aby zdawało się, że to jeden duży, zupełnie rozkwitły chryzantem. Wprawdzie chryzantemy są już niemodne, ale za to królują goździki, naśladujące chryzantemy, są ostatnim słowem szyku i one stanowią niejako pieczęć, która pozwala strój czyjś nazwać „prawdziwie modnym."

KRONIKA.

Lwów 10 kwietnia.

Honorowe obywatelstwo nadała Rada gminna miasta Tarnowa JE. p. Namiestnikowi, Kazimierzowi hr. Badeniemu.

Odznaczenie. Cesarz nadał wachmistrzowi żandarmeryi Antoniemu Plebanowi, w uznaniu jego zasług około uratowania kilku ludzi z narażeniem życia, srebrny krzyż zasługi. Ministeryum obrony krajowej przyznało świadectwa pochwalne: komendantowi posterunku Janowi Glatzowi, za jego taktowne postępowanie podczas zmowy robotników; dalej wachmistrzowi Palisie, komendantom posterunków Janowi Łeczowiczowi, Michałowi Wątrobie, Michałowi Kuziorowi, Janowi Prochasce i Janowi Szymańskiemu; wreszcie żandarmom Dymitrowi Juryńcowi, Fryderykowi Kowalowi, Szymonowi Grzyciale i Franciszkowi Wilczyńskiemu, za ich działalność podczas tłumienia epidemii cholery.

Mianowania. Rotmistrz I klasy Henryk Pawel mianowany komendantem komendy żandarmeryi krajowej nr. 10.

Zmiana własności. Hr. Roman Potocki kupił dobra Krasna-Matysówka i Wólka, w pow. rzeszowskim, blisko Łańcuta położone, od p. Emilii z Komorowskich Bielańskiej.

Wiadomości dyecezyalne. Rz. kat. archidyecezya lwowska: Kanoniczną instytucyę na beneficyum w Kobylnicy (Fehlbach) otrzymał ks. Winc. Czyżewski, koop. w Kozłowie.

Konkursa. Rada szkolna okręgowa zamiejscowa we Lwowie rozpisała z terminem do 8 maja rb. konkurs na kilkanaście posad nauczycielskich. — Starostwo w Gródku poszukuje dyetaryusza. — Gmina miasteczka Brzostek ogłasza z terminem do 15 maja rb. konkurs na posadę lekarza miejskiego, oraz oglądacza bydła rzeźnego z płacą roczną 300 złr. Posada będzie obsadzoną od 1 lipca rb.

Wieczór tańcujący odbędzie się w sobotę 14. bm. w kasynie miejskiem.

Pani Marya Pawlików-Nowakowska, znakomita artystka nasza, której nie mieliśmy sposobności słyszeć blisko przez rok, wystąpiła wczoraj w przedstawieniu, danem na dochód artystki panny Rybickiej. Publiczność zebrana w teatrze powitała swą dawną ulubienicę burzą długo niemilknących oklasków, wyrażając jej tem niezmienną swą sympatyę. Owacyjne to przyjęcie wynagrodziła artystka przepysznem wykonaniem wielkiej aryi z drugiego aktu „Żydówki" i końcowej aryi z czwartego aktu „Halki". Dziesięciomiesięczna przerwa, chociaż okupiona przez publiczność niemożliwością słyszenia sympatycznej artystki, zostawiła po sobie bardzo dodatnie ślady. Głos pani Nowakowskiej nabrał siły, czystości i metalicznego dźwięku, a przepyszna i niezastąpiona niczem deklamacya dodała mu podwójnego uroku. Artystkę wywoływano po każdej aryi kilka razy, darząc ją frenetycznymi oklaskami.

Zrzeczenie się książęcego tytułu. Cesarz zezwolił księciu dr. Rudolfowi Thurn-Taxis zrzec się w imieniu swojem i swych następców książęcego tytułu, a zarazem nadał mu tytuł barona v. Treskow. Książę Rudolf Thurn Taxis głośnym był przed laty w całej Austryi. Ożenił się z mieszczanką, panną Jenny Standler, i pierwszy z arystokratów austryackich uzyskał tytuł doktora. Mezalians, który popełnił, był przyczyną najrozmaitszych zatargów z rodziną. W latach sześćdziesiątych brał książę Rudolf żywy udział w budzącym się wówczas ruchu czeskim i należał do największych przeciwników szmerlingowskiego centralizmu. Nie brakowało go na żadnem zgromadzeniu i w mowach swych, wygłaszanych wówczas, w ostrych słowach wzywał Czechów do walki z wiedeńskim rządem. Rząd też, gdy go wybrano marszałkiem powiatu nimburskiego, wyboru jego nie przedłożył monarsze do zatwierdzenia. Gdy na jednem ze zgromadzeń książę Rudolf omawiał ów krok rządowy, tak ostro o nim się wyrażał, że oskarżono go o zbrodnię podburzania przeciw rządowi. Sądy uwolniły go jednak od winy. W owym czasie był on najpopularniejszym człowiekiem w całych Czechach; w mieszkaniu każdego Czecha, w każdym lokalu publicznym wisiał jego portret, przedstawiający go ubranego w czeski narodowy strój — czamarę. Popadłszy w finansowe kłopoty, usunął się od życia publicznego, a w roku 1882 udał się do Bułgaryi, gdzie został mianowany prokuratorem wschodniej Rumelii. Zrzeczenie się tytułu książęcego nastąpiło za poprzedniem porozumieniem się z głową rodziny księciem Albertem Turn Taxis w Ratysbonie, który baronowi von Treskow wypłacać ma za to roczną rentę w kwocie 6000 marek.

Siostry Miłosierdzia objęły z dniem 5 b. m. w szpitalu stanisławowskim pielęgnowanie chorych i zarząd gospodarstwa domowego.

Dr. Jan Konarzewski, który przed dwoma laty opuścił Lwów i objął posadę rządowego lekarza w Podwołoczyskach na tamtejszym kordonie sanitarnym, zaprowadzonym z powodu panującej wówczas cholery, powrócił do naszego miasta i prawdopodobnie osiędzie tu znowu na stałe.

Obchody kościuszkowskie. Otrzymaliśmy cały stos listów, opisujących przebieg obchodów kościuszkowskich w rozmaitych miastach i miasteczkach Galicyi. Nie mogąc zamieścić wszystkich tych listów w całej rozciągłości z tego powodu, że w każdym z nich powtarzają się mniej więcej te same szczegóły, zaznaczymy tylko najcharakterystyczniejsze momenta.

Ze Zbaraża donoszą nam, że w tem starożytnem gnieździe Wiśniowieckich obchód wypadł bardzo efektownie. Osobliwie piękne wrażenie robił pochód z lampionami i przeszło stu pochodniami, na którego czele niesiono obraz Kościuszki. W Brzozowie, gdzie na czele komitetu stanął rejent Witkiewicz, kilku obywateli w polskich strojach, gdy kapłan w czasie nabożeństwa czytał ewangelię, starym obyczajem dobyło do połowy szabel z pochew, przypominając dawną pobożność naszych przodków.

W Bolechowie inicyatywę obchodu wzięło na swe barki Tow. muzyczne im. Moniuszki i czytelnia im. Mickiewicza. Obchód połączono z bardzo pożytecznem przedsięwzięciem, gdyż na upamiętnienie roku kościuszkowskiego zawiązano komitet budowy nowego kościoła i zebrano 40 zł. pierwszego dnia. Z Mostów wielkich donoszą nam, że w nabożeństwie kościuszkowskiem 4 kwietnia wzięli gremialny udział Rusini tamtejsi pod przewodnictwem gr. kat. kanonika.

W Łańcucie rocznicę zwycięstwa racławickiego połączono z wręczeniem srebrnego medala naczelnikowi miejscowej straży pożarnej p. Antoniemu Peszce, dzięki któremu straż ogniowa łańcucka należy dziś do najlepiej zorganizowanych w kraju. W Kańczudze koncentrował się obchód kościuszkowski w tamtejszem kółku rolniczem. Nie zapomniano także o sutej iluminacyi.

W Nowem mieście, jak nam stamtąd donoszą, otwarto ulicę Kościuszki i urządzono koncert, podczas którego ogólną uwagę zwróciła deklamacya małego dziewczątka, nagrodzona szczerym oklaskiem. Weteran z 1831 r. p. Białobrzeski wygłosił „Redutę Ordona" i inne utwory, któremi rozrzewnił się tak, iż łzy puściły mu się z oczu. Nawet w niektórych wsiach obchodzono pamięć zwycięstwa pod Racławicami np. w Chomranicach koło Nowego Sącza, gdzie uroczystość przybrała cechy bardzo serdeczne.

Rozbójnicy kolejowi we Włoszech, od roku przeszło zaprzestali napadów. Ostatni zdarzył się jeszcze w lutym 1893, kiedyto zamordowano barona Notarbartolo na linii Palermo-Termini, a sprawców tej zbrodni dotąd nie wykryto. Teraz rabusie włoscy odezwali się znowu. Ostatnia ich próba jest tylko rabunkiem, nie morderstwem, niewątpliwie jednak uniknięto rozlewu krwi tylko dla tego, że ofiara nie próbowała się nawet bronić. Inżynier Gonfalonieri jechał zwykłym pociągiem w nocy z Bolonii do Florencyi. Zajmował on sam jeden przedział pierwszej klasy, położył się więc i zasnął. Między Molino a Peltone zbudzili go jacyś dwaj nieznajomi, którzy z sztyletem i rewolwerem w ręku, zażądali od niego pieniędzy. Gonfalonieri spokojnie oddał im złoty zegarek z łańcuszkiem i pulares, zawierający 60 lir, poczem napastnicy opuścili jego przedział i znikli bez śladu. Jest niemal wykluczonem, aby znajdowali się oni wśród podróżnych, najprawdopodobniej wskoczyli oni do pociągu w biegu, a przed tunelem Molino, gdzie pociąg z powodu silnego spadku idzie bardzo powoli, wyskoczyli znowu. Trzy osoby w okolicy, podejrzane o napad, aresztowano.

Ks. Kantakuzen-Speranskij, dyrektor departamentu obcych wyznań w ministeryum spraw wewnętrznych, miał nagle umrzeć w swych dobrach. Wiadomość tę podaje *N. fr. Presse* w telegramie z Petersburga. *Köln. Ztg.* również w telegramie z Petersburga donosi, iż ks. Kantakuzen-Speranskij niebezpiecznie zachorował w Arcachon, we Francyi, dokąd wyjechał za urlopem na czas nieokreślony. Na swem stanowisku odznaczał się ks. Kantakuzen wielką bezwzględnością w wykonywaniu obecnego systemu rządowego względem Kościoła katolickiego i innych „obcych wyznań" w granicach państwa rosyjskiego. Kiedy doszły cara wieści o wypadkach w Krożach, car upoważnił księcia Kantakuzena do przeprowadzenia śledztwa w tej sprawie. Ks. Kantakuzen, zjednany — jak twierdzą powszechnie — przez jenerał-gubernatora Orżewskiego widokami na nabycie pewnych dóbr ziemskich, zdał carowi sprawę w sposób tendencyjny, przychylny dla gubernatora kowieńskiego, a zgodny z zamysłami Orżewskiego. Tymczasem cała ta zakulisowa historya doszła wiadomości cara, dzięki — jak zapewniają — otwartości ober-policmajstra petersburskiego von Wahla Ks. Kantakuzen-Speranskij, otrzymał wskutek tego urlop na czas nieograniczony, co uważać należy za całkowite usunięcie go z dotychczasowego stanowiska.

Policya warszawska śledzi gorliwie za sprawcami złośliwego figla, którym — jak donoszą nam z Warszawy — od kilku dni bawi się cała stolica. Dokoła placu Saskiego, gdzie, — jak wiadomo, — na wniosek Hurki, wystawiona ma być kosztem czterech milionów rubli cerkiew prawosławna, sterczą płoty odgraniczające miejsce przeznaczone na budowę. Wyjazd Hurki z Warszawy, wyjazd prawdopodobnie już ostateczny i niepowrotny, wzbudził w mieszkańcach Warszawy nadzieję, że cerkiew, na którą dotąd, pomimo najgorliwszych usiłowań, zdołano zebrać zaledwie ćwierć miliona, nie przyjdzie do skutku i zamiar Maryi Andrejewny spełznie na niczem. To też szczerze się bawiono, kiedy nazajutrz rano po wyjeździe jenerał-gubernatora, wszyscy przechodzący wzdłuż Krakowskiego przedmieścia mogli wyczytać na płocie budowy wielki napis czarnemi literami: „Tu są parcele do sprzedania z powodu wyjazdu właściciela. Wiadomość na miejscu!"

Z humorystyki Z ostatniej kroniki humorystycznej Bolesława Prusa wyjmujemy następujący ustęp: Pesymiści, którym dolega wątroba lub żołądek, sądzą, że nasze miasto należy do najniemoralniejszych i najniebezpieczniejszych kątów na ziemi.

— Uważcie tylko — mówią — że nie ma godziny ażeby kogo nie spotkało nieszczęście.

Na jednej ulicy dorożkarz przejeżdża babę lub dziecko, na drugiej — ktoś wyskakuje oknem, na trzeciej — pędzi straż do pożaru. Z kościoła wyprowadzają złodzieja, który komuś wyciągał pieniądze, do szpitala wiozą dwu panów, którzy pokłuli się nożami. Wracając zaś do domu, nigdy nie jesteś pewny: czy w bramie nie znajdziesz podrzuconego dziecka, czy w twojem mieszkaniu nie wyłamano drzwi i nie wyniesiono garderoby, czy na podwórzu, w jakiej komórce nie wisi desperat, który postanowił zamknąć życiowe rachunki właśnie pod twoim numerem hypotecznym?

Dumania te, jak cała zresztą modna dziś filozofia pesymistyczna, dla której świat jest olbrzymim kłębem nędzy i cierpień, mają w sobie część prawdy i część fałszu. Prawdą jest, że nieszczęścia trafiają się tem liczniejsze, im gęściej nagromadzeni są ludzie w pewnem miejscu. Ale fałszem jest, ażeby — nieszczęścia górowały w życiu i stanowiły jego treść.

W takiej Warszawie naprzykład, liczącej 450.000 mieszkańców, zdarza się co dzień około 30 wypadków śmierci, około 10 kradzieży i około 10 innych przykrości, czy nieszczęść. W ciągu roku zatem ulega jakowej przygodzie 1 na 25 mieszkańców. Czyli — jeden wzdycha lub płacze, a 24 mogą weselić się, jeżeli mają ochotę. Czyli — raz na 25 lat spotyka człowieka jakieś wielkie lub małe nieszczęście; jego zaś winą jest, jeżeli 24 lat pozostałych, blizko 9 tysięcy dni, nie umiał spożytkować, jak należy.

Notabene — liczbę owych nieszczęsnych przygód możnaby zredukować do połowy. A wówczas warszawski człowiek miałby do dyspozycyi 50 lat spokojnego żywota na ziemi, co trudno chyba nazwać nieszczęściem i powtarzać za Schopenhauerem i Hartmanem, że: życie jest pasmem cierpień, które bodaj nigdy nie wysnuło się z nicości.

Odgrzewane głupstwo, które najczęściej lęgnie się w przesyconych żołądkach!

Jeżeli, czytelniku, nudzą cię tak wiosenne poglądy, rzuć ten papier na ziemię; lecz jeżeliś ciekawy, jak wyglądają codzienne męty warszawskiego życia, czytaj dalej.

Częstuję cię tą potrawką nie dlatego, ażebyś rozczulał się nad marnościami świata i „przeklinał złe, w którem tonie biedna ludzkość." Lecz, ażebyś przekonał się, że owe męty nie są zbyt gęstemi, a stopniowe usunięcie ich nie przechodzi sił cywilizacyi.

Pomijam śmierć i obłąkanie, są to bowiem moce wyższe od człowieka. Zapytajcie jednak lekarzy, a odpowiedzą:

— Gdybyście, o bliźni! co dzień i co godzinę, w najbrutalniejszy sposób nie łamali przepisów hygieny i nie rujnowali własnego zdrowia, liczba obłąkanych byłaby daleko mniejszą niż dzisiaj, a życie wasze przedłużyłoby się o 10, może 15, a może o 20 lat i upływałoby w czerstwości, bez chorób.

W rozmaitych nieszczęściach i nieprzyjemnościach, o jakich czytamy w warszawskich pismach, człowiek występuje już jako godna litości ofiara, już — jako zły działacz.

Ofiarą — bywa najczęściej przy „pracy" i przy „zabawie"; jego zaś złym geniuszem jest

zwykle nieostrożność, dochodząca niekiedy do głupoty; czasami złośliwość, ukarana w bolesny sposób.

Jednego dnia na stacyi towarowej spada z wozu butla kwasu siarczanego i parzy konia. Biedne zwierzę wpada w szał i pędzi przez ulice; nikogo nie rani, ale samo, bez winy, marnie kończy pracowity żywot.

Szkoda konia i wielka zarazem nauka dla ludzi, żeby ostrożniej przewozili kwas siarczany. Myślicie jednak, że poskutkowała? Bynajmniej. W parę tygodni później, woźnicy wiozącemu kwas siarczany znowu na kolej, butla otworzyła się, a piekielny płyn parzył mu na twarz, zjadł skórę, i kto wie, czy nie zniszczył oka.

Cudze doświadczenie wcale nie robi nas mędrszymi.

Dziś przy ulicy Wareckiej jakaś Katarzyna, gotując wosk z terpentyną, wywołuje pożar, który niszczy jej mienie, a ją samą kaleczy; jutro zaś na Woli p. Anna tak umiejętnie obchodzi się z benzyną, że zapala się odzież na niej, od niej na córce, a od nich obu na ratujących sąsiadach. Przy czem nikt nie pamięta, że, gdy na człowieku zapali się odzienie — zamiast biegać po pokoju — trzeba upaść na podłogę i tarzać się, a ogień dusić nie rękoma, lecz bodaj surdutem.

Dziś stróż Andrzej tak nieostrożnie myje szyld na drugiem piętrze, iż spada na ulicę. To nie przeszkadza, żeby jutro p. Petronela, „robiąc porządki" w mieszkaniu, nietylko nie wlazła na komodę, ale jeszcze nie kręciła się na niej tak żwawo, że aż spadła i złamała nogę.

Tej jednak przygoda nie oświeca p. Ksawerego, tapicera, o prawach ciężkości; on bowiem również tak nieostrożnie zawiesza firanki, że spada na okno i kaleczy się szkłem.

Codziennem zjawiskiem jest powszechne zapominanie o tem, że ziemia przyciąga wszystkie ciała. Więc na ulicy Kruczej malarz upuszcza cegłę nad głową woźnicy, a na Nowolipkach cieśla wypuszcza z rąk belkę nad nogą kilkoletniego dziecka. Na Pradze 14letni Icek spada z ładownego wozu, na którym umieścił go roztropny ojciec, a na Dzikiej 15letni Józio sam włazi na rusztowanie domu, biega jak opętany i spada z wysokości dwóch piętr.

Wobec wody ludzie zachowują się tak samo. Ledwie wczoraj nieumiejący pływać amator wypadł z łódki w Wisłę i ledwie wyratowali go przewoźnicy, a już dziś dwaj 18letni chłopcy znów siadają w czółno, płyną na Saską Kępę i znowu wpadają w wodę na utrapienie rybaków.

Ofiarami prawa ciężkości najczęściej są smarkacze. Jakiś Seweryniek, który właził na wóz z żelastwem, albo rybkarzny Kubuś, który wpada do studni na podwórzu.

Dziwnie jednak nieostrożnymi bywają i starsi ludzie, których zasypuje ziemia przy kopaniu fundamentów, lub pod którymi załamuje się spróchniała belka przy zawieszaniu huśtawki.

Zdarza się zaś i tak, że nieumiejętny woźnica pakuje dziewięć osób na wóz, zaprzężony w jednego konia; w drodze wóz pęka, goście wypadają, a może najmniej winny łamie sobie rękę i nadweręża krzyżyk.

Z takich codziennych wydarzeń niejedno mogłoby być tematem do moralnej powiastki. Niesforny 15letni Feliks dopóty mocował się i przewracał swoich rówieśników, aż znalazł mocniejszego, który go przyprawił nietylko o slawę siłacza, ale i o śmierć ze wstrząśnienia mózgu. Niedobry Szymon dopóty bił konia batem, aż rozjuszone zwierzę odkąsiło mu policzek. Nareszcie dwaj złośliwi malcy, 13letni Witold i 11letni Michał, wlazłszy na drzewo, aby zepsuć bocianie gniazdo, spadli na ziemię i jeden zwichnął, a drugi złamał rękę.

O, młodzi przyjaciele! nie przewracajcie słabszych od siebie, nie dokuczajcie zwierzętom, nie puszczajcie się czółnami na wodę, i w ogóle nie popełniajcie tych szaleństw, za które upominają was starsi — bądź ciepłem słowem, bądźto twardym rzemieniem.

Tak wyglądają nieszczęścia, w których człowiek mniej więcej dotkliwie jest karany za własną nieopatrzność. Lecz zdarzają się i inne.

Szesnastoletnia Józefa zaprasza kilka towarzyszek na swoje imieniny. Jedna z zaproszonych, widocznie chcąc uczcić solenizantkę, okrywa się płachtą, bierze w usta rozżarzony węgiel i wśród nocy ukazuje się za oknem jako widmo.

Rezultat jest ten, że Józefa z przestrachu dostaje ataku sercowego i w parę godzin po uczcie, wyprawionej na swoje imieniny, umiera... Biedne dziecko.

Wypadek ten prowadzi nas do innej grupy nieszczęść, w których jeden człowiek jest ofiarą, a drugi działaczem, niekiedy katem.

Kłócą się robotnicy w hucie szklanej, w warsztacie szewskim, w fabryce wyrobów gumowych, w szynku, i... dawaj nożów. Szach, mach! pada na ziemię jeden lub dwóch krwią zlanych, z których jeden czasami już się nie podniesie, chyba w dniu ostatecznego sądu.

Dzikość, granicząca z obłędem!

Przyczyną podobnych wybuchów bywa niekiedy pijaństwo. Pan Jan upił się i na ulicy robił burdy. Gdy go chciano aresztować, wpadł do pewnego domu i schronił się do... ustępu. Gdy zaś i tam go znaleziono, pchnął nożem w brzuch człowieka aresztującego i tym samym nożem przebił siebie.

Do krwawych starć popychają niekiedy nieznaski rodzinne. Teść naprzykład w kłótni, każe zięciowi wyjść za drzwi, lecz ten uważa za stosowniejsze ugodzić teścia nożem. Mąż postanawia w pierwsze święto pojednać się z żoną, którą opuścił i idzie z wizytą do jej matki. Teściowa na widok niewiernego, wpada w świąteczną pasyę i na głowie zięcia — rozbija garnczek. Zięć zaś, poszkodowany na honorze, łapie nóż kuchenny i pakuje go w bok teściowej!

Słodka miłość bywa także powodem zawikłań. Ośmnastoletnie dziewczę znajduje się między dwoma kawalerami, z których jeden jest narzeczonym, a drugi tylko ją ubóstwia.

Spór między rywalami... każdy ciągnie pannę do siebie i w rezultacie — panna idzie do szpitala, ma bowiem pokaleczoną twarz i zwichniętą rękę.

Gdzie się dwaj kłócą, tam trzeci korzysta — mówi przysłowie.

Wcale nierzadko ofiarami zbrodniczych instynktów są dzieci. Obok zaś zwykłych dzieciobójstw zdarzają się fakta straszliwe.

W jednym z ogrodów znaleziono zwłoki nagiego, za życia głodzonego, sześcioletniego chłopczyka, z głęboką raną na głowie. Jakiś szatan z ludzką twarzą zamordował dziecinę, rzucił w cudzy ogród i, dla zatarcia śladów, obdarł...

Nie małą rubrykę „wypadków" tworzą samobójstwa. Prawie jedno wypada na dzień. Ofiarami, a zarazem sprawcami bywają najczęściej ludzie, dotknięci chorobą umysłową, którzy niejednokrotnie po kilka razy trują się, wieszają, skaczą w wodę, zawsze gniewają się na ratujących i zwykle doprowadzają do skutku swoje grobowe zamiary.

Przyczyną samobójstwa bywa niekiedy głęboki, lecz.. chwilowy pesymizm. P. Karol wraca do domu w nocy, zachwiany w duszy i na nogach.. Budzi żonę i dzieci, opowiada im, że postanowił zakończyć marne życie i radzi im, aby go czemprędzej naśladowali. Gdy zaś znudzeni jego bajaniem, zasypiają; pesymista wypija dozę kwasu karbolowego.

Robi się wrzask, przybiega doktór, ratują samobójcę, który na drugi dzień w żaden sposób nie może sobie przypomnieć, co jest przyczyną jego choroby?

Najczęściej jednak samobójstwo jest uwieńczeniem jakiegoś strasznego dramatu. Wiesza się, a później topi, 17-letnia dziewczyna, z żalu za matką, która również odebrała sobie życie. Truje się 27-letnia kobieta, która w ciągu półrocza straciła męża i dwoje dzieci. Wypija kwas siarczany 20-letnia mężatka, którą mąż pijak bił, ile razy wracał do domu.

Wszystko to są istoty zbolałe i opuszczone, których nie miał kto pocieszyć w rozpaczy, albo zasłonić przed krzywdą.

Komiczną grupę przestępców tworzą złodzieje. W Warszawie robią oni połowę „wypadków" i — jak niewidzialne bakterye, są wszędzie, czepiają się wszystkiego. Wchodzą do mieszkań prywatnych, do kościołów, do stacyi kolejowych, do tramwajów, do berlinek i czółen, stojących na wodzie. Kradną portmonetki z kieszeni, butelki z piwnicy, bieliznę ze strychu, paki towarów w biały dzień z ulicy, czasem konie i wozy w oczach właścicieli. Czasem udają chorych, niekiedy ratują chorych. Innym razem wpadają do domów, ażeby zawiadomić rodzinę o nieszczęściu, lub prezentują się, jako przyjaciele czy krewni kogoś nieobecnego, lecz znanego mieszkańcom. Każda zaś podobna wizyta kończy się, co najmniej, brakiem paltota w przedpokoju.

W przeważnej liczbie wypadków działają jako istoty niewidzialne, które w niewytłómaczony, a genialny sposób dostały się do cudzej kieszeni lub mieszkania. Lecz niekiedy niewidzialny i genialny figlarz wpada w ręce policyi, a wówczas okazuje się, że jest to bardzo zwykły śmiertelnik, który już kilka razy bawił w kryminale!

W najsprytniejszej napozór kradzieży nie tyle dziwnym jest geniusz złodzieja, ile—nieuwaga i gapiostwo ofiary.

W kunszcie złodziejskim jest jedna rzecz zdumiewająca: lekkomyślność samych złodziei. Życie ich bowiem jest przepełnione goryczami, są to najnieszczęśliwsi proletaryusze. Praca ich ciężka: proszę bowiem przez kilka godzin z urzędu wybijać, po cichu, otwór w ścianie lub suficie; proszę w nocy wyłamywać bruk żelazny i mostki, albo — podczas zimy wyciągać z wody kotwicę!..

Pomijam, że każdy złodziej musi być bezwarunkowo kiedyś schwytany, a wówczas poszkodowani zadają wszelkie dolegliwości jego ciału i honorowi. Ale i jego praca jest marnie wynagradzana: każda bowiem rzecz skradziona (z wyjątkiem pieniędzy) w rękach złodzieja traci wartość i taki pan szczęśliwym może się nazwać, gdy „paser" za przedmiot naprzykład sturublowy da mu rubla!.

Dużo mógłbym wylać łez nad smętnym losem złodziei, którzy przedewszystkiem robią wrażenie głupich, pomimo sprytu i—okrutnie wyzyskiwanych, pomimo, że sami są pasorzytem społecznym.

Ale czas kończyć.

Sens moralny. Złe na świecie wogóle nie imponuje rozmiarami. W Warszawie np. wygląda ono tak, jak — 50 kropli atramentu w 4 garncach wody, mąci więc życie społeczne, ale go nie niszczy, nawet nie zatruwa".

Interview z Dowem. Niemieckie ministeryum wojny zwróciło już baczniejszą uwagę na pancerz kulotrwały Henryka Dowego, a przedsiębrane próby wykazały, iż wynalazek ma przyszłość przed sobą. Jeżeli tak jest, skromny krawiec z Mannheimu, Henryk Dowe, stanie się niebawem osobistością sławną na obu półkulach. Należał mu się od dawna interview dziennikarski. Obowiązku dostarczenia światu rozmowy z wynalazcą pancerza kulotrwałego podjął się w tych dniach jeden z dziennikarzy berlińskich.

Od dawna zamierzałem — pisze on — oddać wizytę wynalazcy pancerza, który, być może, przewróci do góry nogami obecnie obowiązującą sztukę wojowania. Korzystając z ośmiodniowego pobytu krawca w Berlinie, napisałem doń list z prośbą o wyznaczenie godziny przyjęcia. W odpowiedzi odebrałem list, który świadczył, iż pan Dowe pisze kaligraficznie i ortograficznie. Dokument ten brzmiał:

„Szanowny panie! Oczekuję we czwartek, o godzinie czwartej po południu, w mieszkaniu krawca Sewohl, Schützenstrasse 38. Z poważaniem — Henryk Dowe".

Punktualnie o oznaczonej godzinie stawiłem się na ulicy i w domu, wskazanym w liście. Na trzeciem piętrze, na drzwiach biało lakierowanych, obok wielkiej mosiężnej tablicy, głoszącej imię, nazwisko i fach majstra kunsztu krawieckiego, Sewohla, ujrzałem skromny bilet wizytowy, świadczący, iż wielkie umysły nie potrzebują potężnych blach mosiężnych na pomieszczenie swego imienia. Oto, jak brzmiała zawartość biletu:

Krawiec Henryk Dowe,
Wynalazca pancerza kulotrwałego.
Mannheim.

Gdybym był krawcem, pierś rozsadziłaby mi duma, iż tak znakomity wynalazca nie wstydzi się umieszczać przed swem nazwiskiem słowa tak pospolitego jak „krawiec". Zadzwoniłem. Na progu mieszkania ukazał się sam Dowe w swej własnej osobie. Odrazu był ze mną popularnym, uważał nawet za zbyteczne przywdzianie surduta.

— A! to pan — rzekł z miną człowieka, odurzonego już nieco dymem chwalczych kadzideł — oczekiwałem na pana! Proszę dalej

Poszedłem tedy za wielkim człowiekiem w negliżu. Znaleźliśmy się w skromnie umeblowanym pokoiku. Mistrz Dowe posadził mnie na kanapce, zielonym rypsem obitej, sam zaś zajął miejsce na zydelku. Patrzyliśmy na siebie przez kilka sekund, wreszcie Dowe z bystrością, wielkim mężom właściwą, zapytał:

— Jesteś pan reporterem?

— Tak, panie.

Zapanowała znów chwila ciszy. Korzystałem z niej, aby się rozejrzeć po pokoju. Istny arsenał! Na stole leżały rewolwery, ładunki, zatyczki wojłokowe, metalowe kapsle, guziki od mundurów, sztaby żelaza, wiązki drutu. W kącie widniała dubeltówka myśliwska i karabin modelu 88-go, używany w armii niemieckiej.

Przegląd pokoju trwał już długo. Należało wreszcie rozpocząć interview. Spojrzałem jeszcze raz na broń, rozłożoną na stołach.

— Ładna kolekcya!

— A tak, pracuję wciąż nad udoskonaleniem mego wynalazku. Urządzam próbne strzelania w domu. Strzały sprawiły, że nie mogłem mieszkać w hotelu. Musiałem się wynieść do mieszkania przyjaciela.

— Cóż mówią sąsiedzi pańscy na huk strzałów? Nie rozstraja im to nerwów?

— Nie. Gdym po raz pierwszy rozpoczął kanonadę, w domu całym zapanowała panika. Posłano po komisarza policyi. Ale dziś otoczenie przyzwyczaiło się do huku, tem bardziej, iż przed kanonadą zamykam szczelnie okna, wszelkie zaś otwory zatykam krajką.

W dalszym ciągu rozmowy skarżył się Dowe na policyę berlińską, która zabroniła wynalazcy przywdziewać pancerz kulotrwały i urządzać konkursowe strzelanie do siebie.

— Ach, panie Dowe, czy na seryo myślałeś pan o urządzeniu podobnego widowiska?

— Najzupełniej seryo. A cóżby mi się stać mogło?

— A więc jesteś pan głęboko przekonany, iż żadna kula nie przebije pańskiego pancerza?

— Najzupełniej! Dyrekcya paryskiego teatrzyku „Folies Bergères" zaproponowała mi cały szereg występów za wynagrodzeniem 500 franków za wieczór. Odrzuciłem jednak propozycyę ze względów... patryotycznych. A nużby Francya pierwsza, podejrzawszy sekret, zaprowadziła moje pancerze kulotrwałe?

Tu oblicze Dowego zajaśniało. Zapanowała znów chwila milczenia. Mistrz Dowe, schodząc z hymnu do prostej powieści, ujął mnie za guzik i zapytał:

— Gdzie się pan ubierasz?

Wymieniłem firmę.

— Fatalna robota! — wyrzekł Dowe tonem znawcy — rękawy źle skrojone...

Zarumieniłem się za swego krawca po białka oczów i pospiesznie sprowadziłem rozmowę na pancerz kulotrwały.

— Co panu nasunęło myśl sporządzenia pancerza?

— Hm—odparł Dowe—powziąłem ją w... dziesiątym roku życia.

— Co?

— Tak jest. Ojciec mój był to człowiek poczciwy z kościami, ale raptus, jakich mało. Ilekroć przyniosłem do domu złą cenzurę, smarował mi skórę kijem. Pewnego dnia wręczono mi znowu w szkole fatalną cenzurę. Pierwszą moją myślą było uciekać do Ameryki. Po głębszej jednak rozwadze poszedłem po rozum do głowy. Wstąpiłem do wuja mego, tapicera i przywdziawszy koszulkę z tęgiego wojłoku, udałem się do domu. Ojciec, jak zwykle, zabrał się do kija, ja zaś, zasypany gradem razów, tryumfowałem. Oto zawiązek pomysłu mego pancerza kulotrwałego.

Pożegnałem wynalazcę pancerza. Po wyjściu sformułowałem sens moralny interviewu.

Brzmiał on tak:

— Miał Newton swoje jabłko, miał Dowe swój kaftanik wojłokowy. Bogowie! Jakże małe przyczyny sprowadzają wielkie skutki!..

Szczepienie ochronne przeciw dyfteryi. Lekarze od dawna już myśleli nad odkryciem jakiegoś środka, któryby podobnie jak ospa zaszczepiony chronił dzieci od dyfteryi. W listopadzie 1892 r. profesorowie Aronson i Wernicke oświadczyli na jednem z posiedzeń berlińskiego stowarzyszenia lekarskiego, iż udało się im ze krwi psów chorych na dyfteryę uzyskać surowicę, która w sobie zawierała tyle materyi chroniącej od zarazy, że przez zaszczepienie jej możliwem było uwolnić dzieci od niebezpieczeństwa choroby. Przez dalsze prace nad tem odkryciem, prowadzone przez prof. Aronsona, Behringa i Wernickego, udało się im spotęgować jeszcze zawartość materyi antichorobowej w owej surowicy tak, że dziś jednorazowe zaszczepienie 1 ccm. tej surowicy wystarczyć ma zupełnie na zabezpieczenie dzieci i dorosłych przed dyfteryą. W końcu prof. Aronsonowi udało się odkryć najsilniejszy odczyn przeciw dyfteryi. Czy w istocie te nowo wynalezione środki dadzą pomyślne rezultaty pokaże przyszłość dopiero. W każdym razie jednak powstają pewne wątpliwości o ich skuteczności działalności. Owa surowica lecznicza ma chronić w pierwszej linii organizm człowieka przed jadem dyfteryi. Wiadomo jednak, iż przyczyną śmierci u chorych na dyfteryę są nie tyle nadmiernie rozmnażające się bakcyle dyfteryczne, ile inne drobnoustroje, które dostają się do krwi z jadem dyfterycznym wywołują ogólne jej zatrucie, czego skutkiem jest śmierć. Wynaleziony zaś przez wyż wymienionych profesorów środek antidyfteryczny niszczyć będzie tylko zarazek dyfterytu, nie powstrzyma atoli w rozwoju owych drobnoustrojów, zatrucia krwi wywołujących. Wprawdzie możnaby tak się urządzić, aby szczepienie owego środka antidyfterycznego powstrzymywało dyfteryę w pierwszej fazie jej rozwoju i w ten sposób możnaby było położyć zaporę pojawianiu się i rozwijaniu owych trujących drobnoustrojów w krwi ludzkiej, ale dotychczas tego uczynić nie zdołano, należy więc jeszcze z wielką rezerwą zachować się wobec odkrycia nowego środka i wyczekiwać dalszych z nim doświadczeń.

Z Berlina do Hamburga. W czasie świąt Wielkanocnych odbył się uwagi godny bieg dystansowy pomiędzy Berlinem a Hamburgiem, na przestrzeni 290 kilometrów. Jeden z lekarzy berlińskich postanowił odbyć przejażdżkę konną w warunkach takich, aby jeździec ani koń ani na chwilę w czasie jazdy nie odczuli znużenia. Zadanie to spełnił w 76 godzinach. Celem zbicia twierdzenia wegetaryanów, że przy dłużej trwających wysiłkach fizycznych, pożywienie roślinne jest najprzydatniejsze, jeździec używał w drodze jedynie pokarmu mięsnego, oraz trunków alkoholowych. Ilekroć uczuwał znużenie, zsiadał z konia i szedł trzymając się strzemienia. Nabrzmienia w stawach końskich obmywał na każdym przystanku wodą mydlaną z przymieszką kalium, następnie zaś zlewał je wodą zimną i okowitą. Nocą okręcał nogi konia suchemi bandażami wełnianemi. Zrana, w południe i wieczorem kazał się zlewać od stóp do głów naprzód gorącą wodą mydlaną, a następnie kubłem zimnej wody, poczem wycierał się wodą kolońską. Potem na krótki spoczynek kładł się do łóżka, rozgrzanego ciepłemi baniami. Procedura taka okazała się w wysokim stopniu skuteczną. Jeździec przybył do mety zdrów jak ryba, bez najmniejszego zmęczenia, z wagi swej 85 kilogramów nic nie uroniwszy. Dnia pierwszego przejechał 88, drugiego 81, trzeciego 86, a czwartego 35 kilometrów.

Kula rewolwerowa w głowie. Niedawno temu zmarła na jakąś obojętną w tym wypadku chorobę na wiedeńskiej klinice profesora Neumanna pewna kucharka, Katarzyna Quittner. Przy sekcyi, przedsięwziętej przez prof. Weichselbauma, znaleziono ku wielkiemu zdziwieniu lekarzy w mózgu zmarłej kulę rewolwerową, która wedle wszelkich danych dawno tam już się znajdowała. Jak się później dowiedziano, przed piętnastu laty Katarzyna Quittner, służąc na Węgrzech, miała zajście z jakimś swoim kochankiem, który, uniesiony zazdrością, strzelił do niej z rewolweru i trafił ją w głowę. Ranną oddano do szpitalu, zkąd jako uleczona, ale z kulą w głowie, wyszła po kilku tygodniach i odtąd ta kula mało co jej zawadzała. Będąc na klinice, nawet nie skarżyła się na ból głowy, a śmierć jej nie miała najmniejszego związku z owym dawnym postrzałem. Ten rzadki w rocznikach medycyny wypadek budzi naturalnie w kołach fachowych żywe zainteresowanie.

Stan powietrza. Term. + 6° o godz. 8 rano, w poł. + 12° R. Bar 767. Pogoda.

Niezawodne świadectwo.

— Ile lat ma pani Iks?

— Dwadzieścia ośm.

— Co też mówisz!

— Ale tak.

— Niepodobna!

— Ależ zapewniam cię, że tak jest. Od dziesięciu lat powtarza mi to sama.

Telegramy „Przeglądu".

Wiedeń 10 kwietnia. Koło polskie odbyło wczoraj posiedzenie.

Z powodu nieobecności p. Zaleskiego, który wyjechał do Krakowa na ślub swego syna z hr. Mycielską, przewodniczył na niem wiceprezes p. Jędrzejowicz.

P. Sokołowski poruszył sprawę zaburzeń ulicznych w czasie obchodu kościuszkowskiego w Rzeszowie i odczytał reskrypt komendanta tamtejszej załogi jenerała Lamberga, wystosowany do magistratu i zabraniający wszelkich pochodów i zbierania się na ulicach. Mówca stawia wniosek, aby Koło zajęło się tą sprawą i prosiło naczelną władzę wojskową o pouczenie swych podwładnych, co należy do ich zakresu działania

Wniosek ten przyjęto i uproszono przewodniczącego, by się zajął tą sprawą.

Następnie p. Chrzanowski zdawał sprawę z obrad komisyi nad ustawą o obowiązku meldowania się osób, należących do pospolitego ruszenia. Zarazem oświadczył mówca, że polscy członkowie komisyi czynili starania o zaprowadzenie pewnych ulg w tej ustawie, które to ulgi mają być zaprowadzone w drodze instrukcyi ministeryalnej.

P. Popowski wyjaśniał również znaczenie tej ustawy, X. Pastor zaś zwrócił uwagę na to, że ustawa ta wkłada nowy dotkliwy ciężar na gminy, które i tak nie mają pisarzy. Zabierało głos jeszcze kilku mówców, poczem przyjęto do wiadomości wyjaśnienia członków komisyi i przystąpiono do dyskusyi szczegółowej nad budżetem.

Przy rubryce „rada ministrów" zabrał głos dr. Byk i żalił się, że urzędnicy żydzi niemal z zasady wykluczani bywają od awansów. Jestto zdaniem mówcy naruszeniem ustaw zasadniczych i podsycaniem antysemityzmu. Mówca uważałby właściwie za swój obowiązek poruszyć tę sprawę w izbie, nie chce jednak tego uczynić w obec tego, że przywódzca Koła wyraził rządowi zupełne zaufanie, to też ogranicza się na poruszeniu tej sprawy w Kole, w którem zasiadają dwaj reprezentanci rządu.

P. Roszkowski popierał wywody dr. Byka i zwrócił się do min. Jaworskiego z prośbą o interwencyę, p. Kozłowski zaś wykazywał, że awanse należą do kompetencyi władz wykonawczych i nie uchodzi wytaczać takiej sprawy w parlamencie. Min. Jaworski oświadczył, że jemu przedkładane bywają tylko nominacye wyższych urzędników do zaopiniowania, a on postępuje przy tem jak najbezstronniej i patrzy tylko na kwalifikacyę kandydatów, a nie na ich wyznanie, ani na przekonania polityczne. P. Rapaport żalił się, że ostatnie gałęzie zarobku, dostępne jeszcze żydom, wydzierane im są przez konkurencyę Kółek rolniczych. Pragnąłby przeto usunięcia tej konkurencyi.

P. Chrzanowski przemawiał następnie za tem, aby przy funduszu dyspozycyjnym nikt głosu nie zabierał, zaś przy debacie nad etatem min. spraw wewnętrznych aby przemawiał p. Rutowski w sprawie regulacyi rzek — P. Wielowiejski wykazywał potrzebę rozciągnięcia opieki państwa nad emigrantami; obecnie bowiem szykany policyjne zmuszają ludność do emigrowania ukradkiem z pominięciem dróg legalnych. Ministerstwo powinno samo urządzić służbę informacyjną, któraby wskazywała emigracyi właściwe drogi. — P. Potoczek prosił o pozwolenie zabrania głosu w sprawie regulacyi Dunajca, a p. Roszkowski przedstawił lichy stan publicznego bezpieczeństwa we Lwowie i uciążliwy system biurokratyczny w policyi. Pp. Borkowski, Wł. Gaiewosz i Eug. Abrahamowicz mówili o traktacie handlowym z Rumunią i wykazywali potrzebę skutecznej ochrony interesów Galicyi, zwłaszcza w tym kierunku, aby nie zawarto na szkodę naszego kraju konwencyi weterynarskiej z Rumunią.

Uchwalono, że głos w izbie zabrać mają pp. Kozłowski o swoich wnioskach, p. Potoczek o regulacyi Dunajca, Rutowski o regulacyi rzek w ogóle, a Byk o przeciążeniu gmin poruczonym zakresem działania.

Wiedeń 10 kwietnia. Wczoraj zebrała się tu pod przewodnictwem szefa sekcyi Latoura centralna komisya dla nauki przemysłowej. Na posiedzenie to przybyli reprezentanci ministerstw i delegaci szkół przemysłowych. Minister oświaty dr. Madeyski powitał zebranych przemową, w której zapewniał, że rozwój szkół przemysłowych bardzo mu leży na sercu i że co do nich, będzie się trzymał tych samych zasad, których trzymał się poprzedni zarząd ministerstwa oświaty. Następnie referent p. Haymerle zdawał sprawę o wyposażeniu szkół przemysłowych we Lwowie i Krakowie.

Wczoraj odbył się w pałacu cesarskim obiad, na którym było 25 członków obradującej tu właśnie konferencyi biskupów.

Wenecya 10 kwietnia. Cesarz Wilhelm odjechał stąd wczoraj. W porcie Malamocco pożegnali się obaj monarchowie serdecznie, poczem cesarz Wilhelm odpłynął do Abbazyi, a król Humbert powrócił do Wenecyi.

Peszt 10 kwietnia. Na wczorajszem posiedzeniu sejmu zdał prezydent Banffy sprawę o konflikcie między prezydyum izby a dziennikarzami, który to konflikt już został załatwiony dzięki interwencyi Wekerlego.

W głosowaniu, które odbyło się wśród niesłychanego zgiełku, przyjęła izba to sprawozdanie prezesa do wiadomości. Przyjęto także sprawozdanie o udziale izby w pogrzebie Koszuta, a odrzucono wniosek opozycyi, aby z tego powodu wyrażono prezesowi wotum nieufności.

Praga 10 kwietnia. Część robotników, zatrudnionych w szybie Ryszarda koło Hodau, zaprzestała wczoraj pracy. Bastujący dopuszczali się wybryków przeciw znienawidzonemu przez nich zarządzcy kopalni i ciskali kamienie do biur dyrekcyi. Żandarmerya musiała interweniować.

Komitet wykonawczy niemieckich posłów sejmowych powierzył kierownictwo partyi niemieckiej w Czechach, które dotychczas spoczywało w ręku Schmeykala, osobnemu wydziałowi z pięciu członków. Prezesem tego wydziału i komitetu wykonawczego wybrano Ludwika Schlesingera.

Abbazya 10 kwietnia. Cesarz niemiecki przybył tu wczoraj o godzinie 8½ wieczorem. Na placu lądowania oczekiwała nań cesarzowa z dziećmi. Całe wybrzeże oświetlono pięknie, a straż pożarna z pochodniami utworzyła szpaler od brzegu aż do mieszkania cesarza.

Wiedeń 10 kwietnia. Jedno z pism tutejszych donosi, że minister skarbu ma zamiar zaprowadzić w Austryi monopol wódczany i że w ministerstwie pracują już nad odnośnem przedłożeniem. Mówią także o zaprowadzeniu monopolu naftowego.

Berlin 10 kwietnia. *Reichsanzeiger* ogłasza nadanie Capriviemu wielkiego krzyża komandorskiego orderu Hohenzollernów.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

Wiedeń dnia 10 kwietnia. (godz. 11 w południe. Kredyty 354·25, kred. węgierskie 420.—, Anglob. 151.60, Uniony 257 —, Bankvereiny —.—, Länderbanki 247.60, Akcye tytoniowe —.—, Staatsbahny 337.25, Lombardy 107·25, Elbethale 264·50 Renta papierowa 98·62, Renta węg. 4% kor. 95·12 Renta węg. złota 4% 118·10, Alpiny 69·60, Mark. 61·20, Losy tur. 62·10.

RUCH POCIĄGÓW.

(*Zegar lwowski*).

Odchodzą do

	Kuryer		Osobowy		
Krakowa	3·01	10·41	5·26	11·11	7·36
Podwołoczysk	6·44	3·20	10·16	11·11	—
Podw. Podzam.	6·54	3·32	10·40	11·33	—
Czerniowiec	6·36	—	10·36	8·31	10·56
Stryja	—	—	7·21	10·26	8·41
Bełzca	—	—	9·56	7·21	—

Przychodzą z

	Kuryer		Osobowy		
Krakowa	3·08	6·01	6·36	9·41	9·35
Podwołoczysk	2·48	10·02	6·21	9·46	—
Podw. Podzam.	2·34	9·46	9·21	5·55	—
Czerniowiec	10·10		7·11	7·59	12·51
Stryja	—	—	1·08	9·06	9·52
Bełzca	—	—	8·16	5·26	—

Uwaga: Godziny drukowane grubemi liczbami oznaczają porę nocną od 6 wieczorem do godz. 5 m. 59 rano

W biórze informacyjnem c. k. austr. kolei państwowych we Lwowie, ul. Trzeciego Maja l. 3 (Hotel Imperial) jest sprzedaż biletów strefowych, okrężnych, dowolnie zestawialnych, zeszytów do jazdy, taryf i rozkładów jazdy w formacie kieszonkowym. Informacye w sprawach taryfowych i przewozowych.

88)

KRÓLOWA ZŁOTA.

POWIEŚĆ

PAWŁA d'AIGREMONT.

(Ciąg dalszy).

Gdy weszli, Teresa słuchała odźwiernej opowiadającej o czemś z wielkiem ożywieniem. Spostrzegłszy męża i Roberta, chora spojrzała na Andrzeja i obie ręce podała Robertowi.

— Wiem o pańskiem poświęceniu — rzekła do tego ostatniego. — Jakże my pana będziemy kochali!

Robert pochwycił jej rękę.

— Dziękuję za te słowa — zawołał — gdyż nikt mnie w życiu dotychczas nie kochał.

Pani Samuel rozpłakała się, a wracając do swej loży po schodach, mówiła sobie:

— Ten Robert ma serce złote. Chciałabym mieć takiego syna!

Tymczasem na poddaszu Andrzej i Teresa rozczulali się nad Robertem.

— Odtąd — mówiła Teresa — nie będziesz pan samotnym, będziesz miał siostrę i brata, dopóki nie znajdziemy panu żony, któraby cię tak kochała, jak ja kocham Andrzeja.

Nie dokończyła jeszcze tych słów, gdy nagle ktoś zapukał do drzwi i zanim odpowiedziano, dał się słyszeć szelest jedwabiów, w powietrzu rozszedł się lekki zapach perfum i jakiś głos, dźwięczący boleścią i rozpaczą, zawołał:

— Tereso!... Tereso moja!... Ach, mój Boże! więc znalazłam cię nakoniec!... Ależ w jakim stanie!

W tejże chwili wpadła Helena i nim chora miała czas ją poznać, rzuciła się ku niej i zaczęła pokrywać ją pocałunkami.

— Droga moja — powtarzała — ukochana... Tecia moja... ty, w takiej norze!...

Teresa, pieszcząca ją dotychczas wzajemnie, usłyszawszy te słowa, usunęła ją lekko.

— W takiej norze?... — powtórzyła — ale jestem szczęśliwą, gdyż znajduję się z mężem i bratem, który nam obojgu ocalił życie.

— Życie!... Co ty mówisz?... Więc groziła ci śmierć? I byłabyś umarła, a ja bym cię nie widziała? Nie!... Bóg nie pozwoliłby na to!...

— A jednak!...

— Jesteś niedobra... A ja cię tak zawsze kochałam!... Czy wiesz, że ja cię szukam od dnia twego wyjazdu z domu? Ty wiedziałaś gdzie mieszkam, tymczasem ja, zkąd mogłam dowiedzieć się o twoim adresie? Ach, Andrzeju, jakim sposobem chcesz, bym ci przebaczyła, skoro pozwoliłeś jej cierpieć i nie udałeś się do mnie?

— Ona mi zabroniła, a ty wiesz, że jej żądanie jest dla mnie najświętszym rozkazem.

— Powiedziałam ci, Heleno, rozstając się — przerwała Teresa — że z nim nawet ubóstwo będzie dla mnie szczęściem i do tego czasu nie zmieniłam usposobienia. Jeżeli los zdarzy, będę walczyła z nim wspólnie aż do śmierci, ale chcę wszystko zawdzięczać tylko jemu!...

Robert, który przez delikatność stał na uboczu, nie mógł oderwać wzroku od tej prześlicznej istoty o błękitnych oczach, bladej twarzy zroszonej łzami i czarującej urokiem całej postaci.

Słowa Teresy przypomniały Andrzejowi poświęcenie Roberta.

— Nie mnie jednemu zawdzięczasz wszystko — rzekł — zapominasz o Robercie, który otoczył cię taką troskliwością i nawet wygodami.

Teresa spojrzała na rzeźbiarza wzrokiem, który go wynagrodził za wszystko.

— Robert — rzekła — to co innego, to nasz brat!

Na te bolesne dla Heleny słowa, dziewczyna odwróciła się. Nie spostrzegła jeszcze dotychczas rzeźbiarza.

Światło wielkiej lampy padało całym blaskiem na twarz jego i dozwalało dokładnie widzieć wszystkie jej rysy.

Helena, spojrzawszy na niego, drgnęła, jak gdyby ją przeszła iskra elektryczna.

— Pan Robert, rzeźbiarz, nasz brat — jak przed chwilą powiedziała Teresa — rzekł Andrzej, przedstawiając go Helenie.

Dziewczyna z dziwną uporczywością wpatrywała się w jego oblicze. Można było przysiądz, że widziała go kiedyś i z głębi swej pamięci usiłowała wydobyć jego nazwisko.

— Robert, a nazwisko? — zapytała.

— Tylko Robert — odrzekł Andrzej, zakłopotany tem niedyskretnem zapytaniem Heleny. — Ale uspokój się, posiada on duszę wielkiego artysty, i z pewnością będzie kiedyś zaszczytem naszego kraju. Stworzył sobie nazwisko, to więcej znaczy, niż znaleźć je w kołysce.

Robert, na którego twarzy te pochlebne słowa przyjaciela wywołały rumieniec, podszedł do Heleny.

— Szwagier pani — rzekł swym głosem sympatycznym — jest zbyt pobłażliwym dla mnie. Lękam się, że przepowiednia jego nie ziści się nigdy. Dotychczas byłem tylko ubogiem dzieckiem opuszczonem, bez dachu i rodziny i — dopóki szczęśliwa gwiazda moja nie dozwoliła mi poznać siostry pani i jej męża — sam tym na świecie.

Helena, którą sympatyczny i poważny ten głos zmięszał w wysokim stopniu i odbił się w jej sercu jak gdyby dobrze znanem echem, podała mu rękę i rzekła:

— Kimkolwiek pan jesteś, okazałeś wiele serca mojej siostrze; czy pozwolisz więc z tego powodu bym została jego przyjaciółką?

Robert pochylił głowę i z szacunkiem ustami dotknął jej ręki.

— A teraz skoro cię odszukałam — rzekła, zwracając się do siostry — to czy chcesz czy nie chcesz, od jutra zasiadam przy tobie i już cię nie odstąpię.

Gdy w parę godzin powróciła do domu, Nadina zapytała:

— Skąd wracasz sama jedna, tak późno i do tego fiakrem a nie powozem własnym?

— Myślałam, że pani przestała już zajmować się mną — odrzekła Helena. — Proszę bardzo o uwolnienie mnie od swej opieki! Będę wychodziła zawsze, ile razy mi się podoba i odmawiam pani prawa mięszania się do spraw moich.

Nadina drżąc z gniewu, nie odrzekłszy słowa, odeszła, Helena zaś udała się do Sybili.

Miss Andrew była bardzo niespokojna. Tego dnia po południu wraz z Heleną udała się ona po sprawunki. Nagle, wychodząc z pewnego magazynu, Helena krzyknęła i nie uprzedziwszy Sybili, pobiegła naprzód, zostawiając ją [illegible] na bulwarze. Sybila straciła ją z oczu i szukając na próżno czas jakiś, wróciła sama do domu niespokojna o swą pupilkę.

Teraz, spostrzegłszy ją wchodzącą do pokoju rozpromienioną, domyśliła się, że zaszło coś niezwykłego.

— Co takiego się stało, droga moja? — zapytała zdziwiona.

— Ach, Sybilo, jestem uszczęśliwiona, ale i nieszczęśliwa zarazem. Znalazłam Teresę!...

— Teresę!... — zawołała miss Andrew, podbiegając ku niej.

— Teresę! ależ w jakim stanie, Boże mój!— odrzekła Helena i rozpłakała się.

— Opowiedz mi, w jaki sposób odszukałaś ją.

— Po południu, gdyśmy wychodziły z magazynu, spostrzegłam Andrzeja Dangely, przechodzącego w poprzek bulwaru. Wiesz, jak od niejakiego czasu myśl o Teresie dręczyła mnie nieustannie. Słyszałam, że Andrzej utracił posadę i nie mógł znaleźć pracy. Mówiła to pani Rochebelle i pamiętasz, że wtedy powiedziałam ci, iż to ona ściga ich swą zemstą. Od tego czasu często wraz z tobą przebiegałam Paryż i rzucałam się naprzeciw każdej kobiety, podobnej z postawy do Teresy, lub o mężczyzny podobnego do Andrzeja. Otóż dziś przewieczorem zdawało mi się, żem go spostrzegła i w pośpiechu nie uprzedziwszy cię, pobiegłam za nim.

— I to on był?

— On, ale szedł krokiem tak szybkim, że z trudnością mogłam zdążyć za nim.

— Czemużeś go nie przywołała?

— Przypuszczałam, że może ulegając żądaniom Teresy, zechce mi się wymknąć i zatrzeć ślad za sobą, tem bardziej, że był ubrany bardzo ubogo, więc przez fałszywy wstyd nie zechce mówić ze mną i przyznać się do niedostatku. Ach, ileż ja drogi zrobiłam!... Ta ulica du Bac bez końca, św. Rocha, aleja Opery, ulica Lafayetta, Rochechouart, Montmartre. Nie czułam nóg pod sobą. Gdyby to nie chodziło o Teresę!...

Nakoniec wszedł do jakiegoś ogromnego domu przy ulicy Clignancourt, lecz zniknął mi z oczu w labiryncie korytarzy. Udałam się do odźwiernej i zapytałam o państwa Dangely. Wyobraź sobie, nie znano ich w domu. Zrozpaczona, opisałam Teresę i Andrzeja i w rękę odźwiernej wsunęłam luidora.

— Więc to zapewne pan i pani André — zawołała wtedy. — Jeżeli pani przybywa z pomocą im, to bardzo wczas.

Możesz sobie wyobrazić, Sybilo, co działo się ze mną, gdym usłyszała te słowa.

— To bardzo porządni ludzie — ciągnęła dalej odźwierna — ale jakaż u nich nędza! Ta pani niedawno niebezpiecznie chorowała, i zdaje się, że tylko w skutek zgryzot wydała na świat dziecię nieżywe. Zaczęła już poprawiać się, gdy przed kilku dniami zapadła na tyfus i niewiele już brakowało jej do śmierci. Tymczasem w domu nie było ani grosza!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor Ludwik Masłowski. Papier z fabryki Braci Wijałkowskich w Białej. Z drukarni zar. W. Manieckiego. — Zarządca W. [illegible]